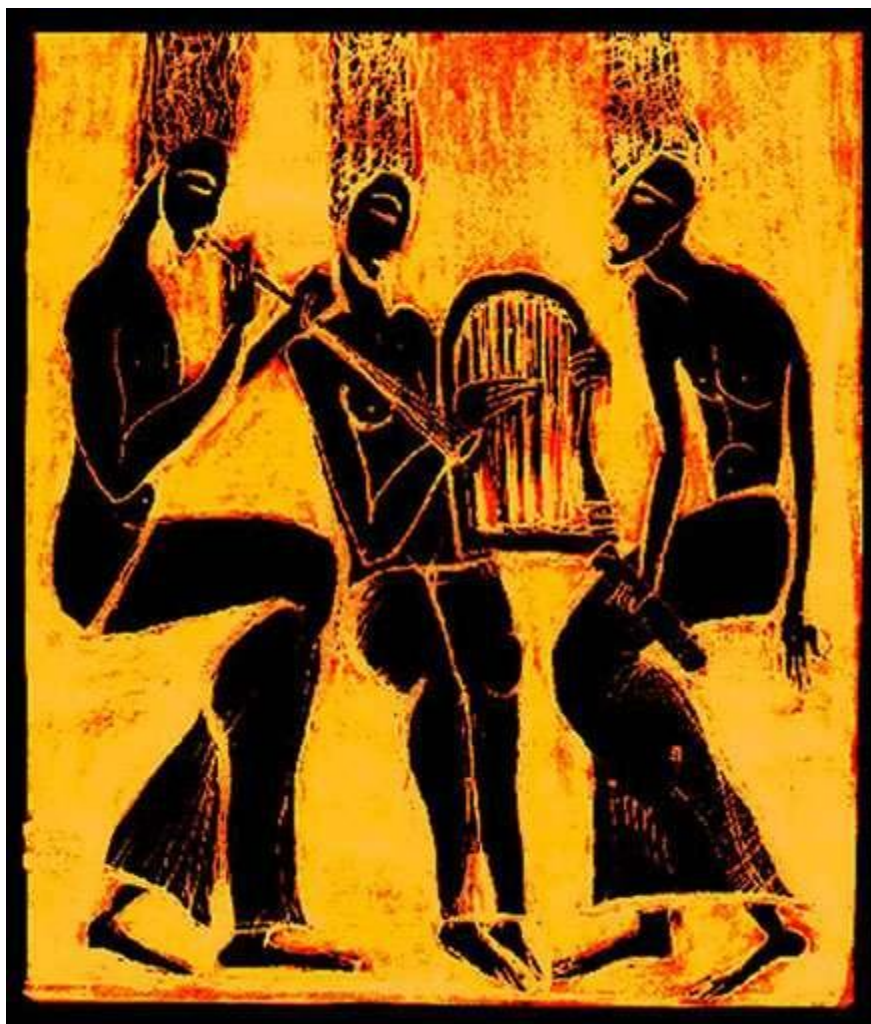


ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU
NR 62, LISTOPAD 2011, PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

E f e k t c i e m n o ś c i 9 nowych opowiadań



Druga antologia
opowiadań Jagiellończyków



W pierwszej antologii, w 58. numerze „Zeszytów Jagiellońskich” z czerwca br., swoje utwory opublikowali następujący uczniowie:

- Rafał Bańka z klasy Ig;
- Anna Baranowska z klasy Id;
- Brygida Dąbrowska z klasy Id;
- Magdalena Ezman z klasy Id;
- Weronika Jagodzińska z klasy Id;
- Natalia Jaroszevska z klasy Id;
- Kaja Kacperska z klasy Ig;
- Bogdan Kołodziejwski z klasy Ig;
- Amelia Koper z klasy Id;
- Tomasz Kulesza z klasy Id;
- Aleksandra Lewandowska z klasy Ig;
- Daria Maciejewska z klasy Id;
- Aleksandra Molendowska z klasy Id;
- Emilia Piekart z klasy Id;
- Magdalena Rogoza z klasy Id;
- Wiktoria Sowińska z klasy Id;
- Filip Stoliński z klasy Id;
- Agnieszka Studzińska z klasy Ig;
- Ewa Tyburska z klasy Id;
- Albert Walczak z klasy IIC;
- Łukasz Zieleniewski z klasy Id;
- Julia Żebrowska z klasy Id.

W drugiej antologii, w obecnym numerze „Zeszytów Jagiellońskich”, swoje utwory opublikowali uczniowie:

- Agnieszka Dobies z klasy III c;
- Gabriela Gostomska z klasy IID;
- Klaudia Kopczyńska z klasy IIG;
- Marika Lewandowska z klasy IIIC;
- Daria Maciejewska z klasy IID;
- Agnieszka Studzińska z klasy IIG;
- Ewa Tyburska z klasy IID;
- Albert Walczak z klasy IIIC;

Pomysł na pierwszy zbiór opowiadań uczniów naszej szkoły zrodził się przypadkowo - podczas jednej z lekcji języka polskiego - po lekturze opowiadań z książki "Pisz do Pilcha". Wybitny pisarz i publicysta wpadł kiedyś na pomysł ogłoszenia konkursu na opowiadanie dla nieprofesjonalnych twórców. Efektem był zbiór 33 tekstów. W pierwszej antologii opowiadań Jagiellończyków w czerwcu 2011 roku w 58. numerze "Zeszytów" znalazły się 22 najlepsze utwory. Teraz ukazuje się "Druga antologia opowiadań Jagiellończyków". Mam nadzieję, że dla autorów tych tekstów to początek dłuższej przygody z literaturą.

Wiesław Kopec

Na okładce: Muzy Ewy Kutylak, www.kutylak.com.

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku
Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20
lwjszkola@jagiellonka.plock.pl; Opiekun zespołu: Wiesław Kopec (wkopec1@wp.pl)
Zespół redakcyjny: członkowie Koła Młodych Twórców w LO im. Wł. Jagiełły.

ZBUTWIAŁE SNY

Opanowało mnie wszechogarniające uczucie pokory. Siedzimy na łące, tuż przy granicy sosnowego lasu, od którego bije zimny, martwy i zalatujący wilgocią chłód. Pobliskie pole zbroczone jest krwią czerwonych maków, kołyszących się lekko w rytmie wiatru. Nadchodzi wieczór i słońce chyli się ku zachodowi. Wyjmuję z kieszeni odrobinę wygniecionego papierosa, przyglądając mu się zaczynam przekładać między palcami.

- Dlaczego wybrałeś to miejsce? – pytasz. Wzruszam ramionami, po czym odkręcam butelkę taniego, wiśniowego wina. W końcu wymyślam odpowiedni powód:

- Lubię te maki.

Patrzysz na mnie, wprost w moje oczy tym swoim spojrzeniem z mieszaniną żalu i niedowierzenia. Odwracam wzrok.

- Odsuść to sobie, nie jestem konającą owieczką. – rzucam.

- Jesteś owieczką po krucjacie. Jest ci chociaż źzej?

Serce odrobinę kurczy się od wspomnień, zaprzeczam lekkim ruchem głowy.

- To nie jest takie proste.

- Boli cię to?

Na moją twarz wylewa się ironiczny uśmiech.

- Siostrze, nie jestem pieprzonym kaleką, tylko dlatego że zabiłem człowieka.

- Kobietę...

- Przestań, czy to coś w ogóle zmienia? Gdyby zmieniło, nie byłoby to takie proste... – próbuję przerzucić temat dyskusji, jednak ty nie zwracasz na to uwagi.

- ... matkę. Zamordowałeś naszą matkę.

Milknę. Zapalam wyziętego papierosa, po czym biorę porządny łyk wina. W ustach czuję ten gówniany smak tanioci i spirytusu, gorzki posmak osadu opadającego na dziąsła i język. Tego mi brakowało. Dokoła jest zupełnie cicho. Gdy się zaciągam, wydaje mi się, że słyszę szelest zżeranego ogniem tytoniu. Od północy nadciągają ciężkie, burzowe chmury.

- To nie było morderstwo. – szepczę.

Widzę, że powoli zaczynasz tracić nad sobą panowanie. Już nie patrzysz na mnie z żalem, o nie. Moja zuchwałość razi cię tak, że wybuchasz, wylewając na mnie wrzącą lawę pretensji, których nawet nie będę próbował odpierać.

- Więc czemu płakałeś po wszystkim jak dziecko, zamknięty z nią w jednym pokoju? Czemu nie spałeś całymi nocami? I czemu straciłam brata na pięć cholernych lat, w ciągu których nawet nie starałeś się znaleźć wytłumaczenia? Gniłeś w więzieniu, po cichu oddając się tej rozkosznej, masochistycznej jatce na swojej duszy, pogrążając się po pachy w gównie! Chcesz mi powiedzieć, że to było szlachetne? Że zrobiłeś coś dobrego?

- Tak, dobrego dla niej. – odpowiadam bez wahania - Poza tym, nie muszę szukać wytłumaczenia. Ty też nie powinnaś, bo dobrze znałaś całą sytuację.

- Znałam i pogodziłam się z nią. A ty nie potrafiłeś. TY stchórzyłeś.

Oczy zachodzą ci łzami. Zacisnąłeś zęby, ale mimowolne łkanie wstrząsa twoim chudym ciałem. Drząc wciągasz powietrze, chociaż nie możesz wziąć nawet pełnego, głębokiego wdechu. Ciche, spazmatyczne pojękiwanie zaczyna mnie doprowadzać do szału.

- Przestań – mówię spokojnie, lecz stanowczo. To słowo jest jak porażenie prądem.

- To ty przestań, do cholery! Przestań udawać, że robiłeś, co było trzeba! Zbrukałeś swoją i jej duszę, choćbyś nie wiem jak bardzo chciał o tym zapomnieć...

Spoglądasz na mnie wzrokiem przepelnionym odrazą, zapewne nawet nie wiedząc, że dostrzegam ją w twoich oczach. Nie reaguję, za to ty tak.

- Jesteś świadom tego, co zrobiłeś? Bo ja sądzę, że jednak nie. Twoja ignorancja musi się skończyć! Bo tym razem przekroczyłeś granicę. Tym jednym krokiem podważyłeś... podważyłeś i tak już nadwątlony szacunek do życia...

Jąkasz się lekko i zacinasz, szukając słów, które wywarłyby na mnie wrażenie, wzbudziłyby choć odrobinę żalu, wstydu, nie mówiąc o wyrzutach sumienia.

- Ty... odrzuciłeś jedyną obiektywną wartość! Wartość, jaką jest człowiek. Każdy taki krok... każdy jeden, prowadzi nas wszystkich do... do ludobójstwa... Lub, jak kto woli... do piekła. I jeszcze jedno – zaznaczasz dobitnie - nie waz się twierdzić, że jej pomogłeś.

- To nie jest twój gabinet, daj sobie spokój z wszczynaniem takich dyskusji. – stwierdzam szorstko. - Wy, lekarze chorych problemów, stworzonych przez chore umysły chorych ludzi, więźniów schematów, zamkniętych na wolność myślenia, na swobodę podjęcia decyzji... Wy „psychologowie” jesteście tylko cholernymi hipokrytami. Nikim więcej. I właśnie dlatego – wskazuję na ciebie papierosem - dlatego niczego nie zrozumiesz. – po czym zapijam zdanie haustem wina i już po chwili zaczynam czuć jak uderza do głowy. Szybko i głęboko się zaciągam, żeby tylko podtrzymać to bezwładne uczucie ciężkiego uniesienia.

Teraz milczysz. Dotknąłem cię do żywego. Czy o to nam chodziło, gdy się tu spotkaliśmy, siostrzo? O wyrzucanie sobie nawzajem naszej pogardy do siebie? Żyjemy tak różnym życiem od urodzenia. Właściwie, żyjemy w dwóch równoległych światach, wyznajemy inne wartości, inne zasady. Mamy swoich bogów i swoje demony. Nie jesteśmy zdolni do codziennych poświęceń, choć dobrze wiem, że oddałabyś za mnie życie. Odrzucamy ofiarę ze swojego czasu i zaangażowania, a zamiast tego stawiamy kilka godnych uwagi spraw za tymi wspólnymi, po cichu zabijając w sobie siostrzaną i braterską wrażliwość. A mimo to wiąże nas ta przeklęta więź krwi, która jest jedyną barierą do zaniechania siebie, zerwania ze wszystkim, co dotychczas przeżyliśmy.

W głowie zaczyna mi pączkować myśl, jakbyś sprowokowała mój mózg do wydalania z siebie wewnętrznych, instynktownych przekonań. Waham się, ale widząc twoje otępienie nie mam innego wyjścia, jak sprytnie zakopać nowo wydane na świat, pulsujące jeszcze gorącym obelgi pod gradem świeżych, czysto intelektualnych argumentów.

- Mówisz o prawie do życia... - zaczynam powoli - Godnego życia. A co z prawem do godnej śmierci? Kiedy twoje ciało staje się więzieniem, skazując cię na wegetację? Kiedy będąc jedną nogą na tym, a drugą na tamtym świecie nie chcesz żyć, ze zwyczajnie ludzkiego powodu – nie czujesz, że żyjesz.

- Nie chrzań. – rzucasz szorstko, dając mi do zrozumienia że dobrze znasz mój schemat działania. Wyjmujesz mi z ręki wino i na chwilę przysysasz się do butelki. Gdy odejmujesz ją od ust, krzywisz się lekko. Mimo że twoje oczy ciskają pioruny, odpierasz argument, już bez psychologicznej ochoty nawrócenia przestępcy na zdrowy, humanitarny tok myślowy. W końcu mówisz jak do brata.

- Ona żyła. Nieważne, czy mogła ruszyć ręką, nogą, palcem u stopy... Ale żyła. Bóg tego chciał. Inaczej nie zostawiał by jej przy życiu. A życie należy szanować. Wiesz, czyje to słowa, prawda?

Argument z Bogiem w roli głównej mógłbym puścić mimo uszu, ale nie tym razem. Z kolei cytowanie matki jest jak cios poniżej pasa.

- Przestań pieprzyć, to nie Bóg wsadził jej te wszystkie kurewskie rurki, by podtrzymać funkcje życiowe... Ona chciała śmierci. Każde nieuleczalnie chore zwierzę można uśpić... Co z człowiekiem? – pytam, po czym zaciskam wargi.

Choć nie mogę powstrzymać soczystych przekleństw, staram się mówić z opanowaniem i neutralnością godną księdza udzielającego sakramentu spowiedzi. Chyba nie bardzo mi to wychodzi, bo jedynie odpowiadasz przez zaciśnięte zęby:

- Nie porównuj człowieka do zwierzęcia.

Brak energii, rezygnacja w twoim głosie nie wróżą dobrze. Czyżbyś zaniechała rozmowy ze stojącym o jeden intelektualny stopień niżej bratem?

- Gdyby poprosiła ciebie, byś odłączyła całą aparaturę... Zrobiłabyś to?

- Nigdy. – odpowiadasz szybko, bez wahania.

- Nawet z miłości do niej?

- Nie mów tylko, że twój barbarzyński akt był wynikiem miłości...

- Cholera, jednak jesteś pieprzoną egoistką siostrze... Wiesz, że przed operacją zostawiła list...? – upewniam się.

- ...wiem. Ale nie mogła wiedzieć, o co prosi. Gdy ty odłączałeś aparaturę, mogła równie dobrze wszystko słyszeć, czuć... A ty... ty nie zabiłeś z miłości. Zabiłeś z nienawiści. Z nienawiści do tego, co nie pozwalało jej żyć. Z nienawiści do bólu, który ją trawił przed operacją. Z nienawiści do guza, który siedział w jej mózgu. Chciałeś go zarżnąć, udowodnić, że prędzej ty zabijesz jego, niż on matkę. I udało ci się.

Zwieszam głowę i tym gestem poddaję się. Nie chcę dłużej z tobą dyskutować, mam dość. Poza tym, jestem już trochę pijany.

Nagle przypominam sobie nasze dziecięce kłótnie. Tak łatwo było cię rozdrażnić, a mnie sprowokować. Tłukliśmy się jak szczeniaki, a na koniec lizaliśmy rany, każde w innym kącie pokoju. Zawsze mnie naśladowałaś, z niekoniecznie dobrym dla siebie skutkiem. Gdy założyłem ci torbę na głowę i kazałem mnie szukać, rozciąłaś skroń. Krwawiłaś tak mocno, myślałem, że umrzesz. Skończyło się na kilku szwach i tym, że było mi kurewsko przykro.

Gdy byłem w wieku dojrzewającej seksualności i próbowania różnych świństw, z zazdrości zawsze groziłaś, że mnie podkablujesz. Bałem się tych gróźb, choć nie dawałem tego po sobie poznać - nastoletnie eksperymenty były jak drażnienie się z losem, szukanie po omacku granicy błędu, z głęboko schowaną nadzieją, że następny krok nie będzie ostatnim w tym kierunku. Ale ty pozostawiłaś słowa słowami.

Dzisiaj patrzę na trzydziestokilkuletnią kobietę. Mądrą, zaradną, z zasadami. Zmieniłaś się, dorosłaś. A ja pozostałem tym samym gówniarzem, jedynie z większym bagażem doświadczeń. Czy zawsze robiłem to, o co mnie proszono? Nie. Gdy matka prosiła o naprawienie pralki, potrafiłem nie zjawiać się u niej przez pół roku. Gdy poprosiła o śmierć, tylko ty mogłabyś mnie powstrzymać. Dlatego kazała ci o niczym nie mówić. Dobrze wiedziała, kim jestem.

Reflektuję się, śmiejąc w duchu ze swoich myśli, co prawda z lekkim niepokojem, na który jednak staram się nie zwracać uwagi. Czyżbym robił rachunek sumienia?

Patrzysz teraz daleko przed siebie, daleko i jednocześnie blisko. Twój nieobecny wzrok wprowadza ten rodzaj napięcia, który zabrania domyślać się jego przyczyny. Nie masz w zwyczaju odrywać się od rzeczywistości, zawsze twardo stąpasz po ziemi. Na dodatek tylko ty potrafisz utrzymać mnie w ryzach, siostrze. Staczam się bez ciebie w tempie lawiny i wstyd mi to przyznać przed samym sobą.

- Siostrze... - zaczynam ni stąd ni zowąd, wcale nie bez zdziwienia samym sobą, z zamiarem zaproponowania ci kawy w mieszkaniu. Zbiera się na deszcz i burzę.

- To koniec. – mówisz nadal zapatrzona przed siebie. Nie wiem czemu te słowa budzą we mnie niepokój. Opanowuje mnie uczucie gorąca, jednocześnie po plecach przebiega zimny dreszcz. Milczę. Boję się powiedzieć cokolwiek, najchętniej zatrzymałbym rozmowę w tym momencie, by nie narażać się na to, czego nie chcę słyszeć.

Odwracasz głowę i patrzysz na mnie. Tym razem nie współczująco, nie ze złością. Twoje oczy nie są załzawione, co, paradoksalnie, niepokoi mnie jeszcze bardziej. Patrzysz bez wyrazu, jakby nagle wszystko stało ci się tak obojętne jak pogoda.

- Ja już dłużej tak nie potrafię. – mówisz cicho – Nie zniosę tego. Nie mogę wciąż próbować zmienić ciebie dzięki sobie. Nigdy nie zamierzałaś nic od siebie dać, wciąż tylko wyrządzałaś szkody sobie, a co za tym szło, mnie. Ale tym razem posunąłeś się o krok za daleko. Nie możesz oczekiwać, że ci wybaczę... Jesteś zdegenerowany psychicznie.

Wiesz, że nigdy nie miałam szans sobie z tobą poradzić. Zawsze to wiedziałeś, prawda? Prawda, Aleks?

Nie lubię, gdy mówisz do mnie drugim imieniem, choć zwykłaś robić to już w dzieciństwie. Nie odpowiadam. Nie wiem, czy to efekt wypitego wina, czy zwykłego strachu, ale czuję jak w miejscu, gdzie prawdopodobnie powinno znajdować się serce, rozrasta się pustka, zimna otchłań. To chyba jednak nie alkohol. Staram przypomnieć sobie, kiedy ostatnio się tak bałem. Chyba nigdy. Pięć lat spędzonych w więzieniu nie były tak traumatycznym przeżyciem, jak to, co teraz czuję.

Podnosisz się powoli, stajesz obok mnie. Patrzymy na siebie przez chwilę. I mam wrażenie, że zauważam więcej, o wiele więcej, w tej dziwnej chwili. Coraz silniejszy wiatr rozwiewa twoje lekko upięte włosy, pojedyncze kosmyki wysuwają się i oddzielają od innych. Swym spojrzeniem niemal mrozisz mi krew w żyłach - chabrowe oczy błyszczą surowo, metalicznie, nawet pomimo okalającego nas, miękkiego światła zachodu. Odwracasz się i czynisz kilka kroków w stronę słońca. Teraz widzę tylko zarys twojej chudej, nieomalże chłapięcej sylwetki.

- Nie rób tego... – te trzy słowa wyrzucam z siebie jak truciznę. Przez chwilę chyba nawet myślałem, że pokaleczą mój język. Zwieszam głowę. Jednak ostatnie, choć piękne i miękkie, ledwo daje się przecisnąć przez gardło:

- ...proszę.

Smakuje jak biel. Nie wiem, czy kiedykolwiek wypowiadałem je z taką szczerością i nadzieją.

Przystajesz, tak jak się tego spodziewałem. Odwracasz głowę i w twoich oczach widzę łzy. Ale widzę też coś więcej. Czuję ucisk, bo już wiem, co nastąpi. Wiem to po twoim przeproszającym spojrzeniu. Wcale nie wrócisz, nie masz najmniejszego zamiaru zawracać. I uświadamiam sobie jedno – jeszcze zanim się tu spotkaliśmy, planowałeś to zrobić. Planowałeś odejść.

- Kocham Cię. – szepczesz, po czym ruszasz przed siebie, szybszym i bardziej zdecydowanym krokiem, jakbyś chciała odejść na tyle daleko, by nie kusiło cię, żeby jednak zawrócić.

Stoję i patrzę na ciebie, póki nie znikniesz za horyzontem. Pustka w klatce piersiowej szybko postępuje, po chwili ogarnia mnie całego. Przystaję czuć cokolwiek oprócz tłustych kropli deszczu uderzających w moją głowę, ramiona, wsiąkających natychmiast w ubranie. Gdzieś z oddali dobiega mnie silny grzmot, jego echo przetacza się po zachmurzonych niebie. Nie czuję nic. Nie myślę. Odwracam się chwiejnie, stoję przed pogrążonym już w mroku lasem. Tym razem bije od niego zaskakująca cisza i spokój. Co się zmieniło? Robię kilka kroków naprzód i ginę w spokojnej, przytulnej ciemności.



Na co się gapisz?

Wsiadłam do autobusu. Skasowałam bilet i usadowiłam się na wolnym miejscu pod oknem. Naprzeciwko mnie siedziała starsza, siwiuteńka babka. Miała głębokie jak ocean zmarszczki na całej twarzy. Jakby ktoś scyzorykiem jej starość na twarzy wymalował. Miała też sińce pod oczami. Mimo wszystko miała pogodne spojrzenie.

Zawsze onieśmiały mnie takie osoby. Ale ta babulinka jakoś nie wzbudzała we mnie skrępowania i chamsko wlepiałam się w jej postać. Patrzyła na mnie jak na rówieśnika! To nie było normalne, bo dzieliło nas chyba ze sto lat różnicy! Najlepsze jest to, że miałam wrażenie, że zna mnie od dawna, że wie o każdym moim sekrecie i zdarzeniu z przeszłości.

- To chore. - Niechcący powiedziałam odwracając wzrok do szyby.

- Słucham? - Odpowiedziała kobieta.

- Yyyyy... - Zmieszałam się jak groch z kapustą. Nie wiedziałam, że babulinka to usłyszała. Zawsze myślałam, że w wieku 150 lat już się nie słyszy.

- Myślę, że to chore, że tak podróżowały bilety. - Wybąkałam. Nie chciałam jej przecież mówić, że mam schizę i ciekawi mnie jej osoba.

- Tak, masz rację, moje dziecko. - Odpowiedziała najzwyczajniej babuszka.

Oczekiwałam innej odpowiedzi. Cholera. No może nie: „Dziewczyńko, jestem Twoim odzwierciedleniem z przyszłości i przybywam, by Cię ostrzec!”, ale coś w stylu: „Wydaję mi się, że kiedyś się spotkałyśmy.” No zaskoczyła mnie kobiecina. Nastąpiła jak zawsze niezręczna chwila ciszy. Nagle babeczka znów się odezwała:

- Już tak bywa w życiu, dziecko, coś nas zaskakuje, coś innego smuci albo denerwuje.

Przełknęłam ślinę. Spojrzałam na nią. Miała gały wlepione w moje spłoszone oczy. Patrzyła jeszcze bardziej przeszywająco niż na początku.

- Tak, ma Pani rację... - Wyszepiałam. Na głośniejsze tony zabrakło mi tchu.

- Myślę, że coś już o tym wiesz, młoda damo.

Zbladłam.

- Jak każdy w moim wieku. - Odpowiedziałam po chwili. Myślałam, że tam umrę. Zrobiło mi się gorąco.

- Uciekać czy zacząć krzyczeć? A może wyjściem awaryjnym? - Pomyślałam.

Ludzie pomyśleliby, że zwariowałam. W sumie? Niedużo mi brakowało do tego stanu.

Lecz by zachować pozory normalności, postanowiłam wytrzymać jeszcze chwilę.

- Gosia, jeszcze 3 przystanki i będzie po wszystkim! – Wymamrotałam pod nosem do siebie.

- Masz czasem wrażenie, że kogoś znasz, a tak naprawdę nigdy przedtem nie widziałaś tej osoby? – Spytała znów nieznajoma.

Tutaj mnie zagięła. Myślałam, że mam zawał. Zmieniłam kolor twarzy z białego na zielony.

- No super! – Pomyślałam. Zaraz otworzy magiczny tunel czasoprzestrzeni i wchłonie mnie do niego swoimi oczami!

- Tak proszę Pani, często tak mam... - Odpowiedziałam mrużąc powieki. Kręciło mi się w głowie jak na bujanym fotelu mojego dziadka.

- No, bo widzisz, zdawało mi się... - Babinka urwała zdanie.

W tamtym momencie stanął dla mnie czas. Zdążyłam odmówić zdrowaśkę i wymyśleć drogę ucieczki przez otwarty szyberdach.

- No bo zdawało mi się, że... - Wypowiedź zagłuszył głos kierowcy informującego o przybyciu na ostatni przystanek.

Autobus się zatrzymał. Nie czekałam na dokończenie zdania. Szybko wstałam. Przepchnęłam się przez tłum jak taran i wyskoczyłam z busa.

- Ufff... - Odetchnęłam. – Zdążyłam w ostatniej chwili! - błyskotliwie pomyślałam.

Obejrzałam się w stronę ludzi wylazących z czerwoniaka, by po raz ostatni przyjrzeć się babuleńce. Tym razem z bezpiecznej odległości. Spodziewałam się, że dostanę od niej szyderczy uśmiech lub spojrzenie rasowego pedofila. Ale nie! Nie wysiadła z autobusu. W środku też jej nie było. Czułam, że mam palpacje serca. Obróciłam się na pięcie. Założyłam słuchawki. Przymrużyłam oczy i poszłam przed siebie.

Kwiat weekendu

Rodzice wyjechali. Krótki telefon. Rozmowa, a raczej kilka poleceń, plan obowiązków na dni ich nieobecności. Czerwona słuchawka. Przed oczyma 4 dni przepełnione wolnością. Spotkania, nieograniczony czas powrotów do domu. Spacer w nocy, lenistwo w dzień. Tylko wieczorna kontrola rodzicielska (tak przed 18.00) i świat jest mój.

Czwartek.

Siedzę sama w domu. Brat wyjechał do dziewczyny. Co zrobić, aby nie zmarnować wieczoru. Telefon do przyjaciółki. Do drzwi dzwonek. Już przyszła. Rozmowa głęboka. Problemy, ironie, chichot losu. Światło świecy przygasło. Drzwi się zamknęły. Poszła. Północ... Leżę na kanapie i słyszę szepty. Może to w mej głowie szumi nadmiar myśli. Głaszczę kota. Zasypiam.

Piątek.

Budzę się. Jest ciemno. Zaspałam? Nie, dopiero czwarta. Przebiorę się, po co się kąpać, nie mam na to chęci. Z resztą nikt mi nie każe. Znów się budzę, już pora. Brak wiadomości od 'kolegi', pewnie go nie obchodzi. Zakładam bluzę i wychodzę. Nie jem śniadania. Nikt mi przecież nie każe. Szkoła. Jak zwykle z uśmiechem na ustach biegnę po korytarzu. Z uśmiechem na ustach witam się z każdym. Powrót do domu. Zaraz będą dziewczyny. Na dworze rozłożony kocyk. Rozmowa do późna. Lampka wina, potem druga. Już rano. Może się wykąpię? Zobaczymy... nie chce mi się.

Sobota.

Impreza u kolegi odwołana. Czas się ogarnąć. Potwór w lustrze. Zaślepione oczy, brudna twarz. Trochę wody i mydła. Odkurzę. Bo jak wrócą rodzice, będą się pruli. Telefon do znajomych. Nie mam co robić. Cały dzień przed komputerem. Kłótnia z przyjaciółką. Po południu ze znajomymi. Potem jeszcze z innymi. Znów telefon. Jadę na grilla. Jedzenia i kąpiel w basenie. Sielanka. Dzwonią rodzice. Pretensje.

- Dlaczego jeszcze nie w domu, kto Cię odbierze, co tak długo...

Tłumaczenie, podniesione ciśnienie, zachowanie zimnej krwi i spokój. Czerwona słuchawka. Zaciśnięte mocno zęby puszczaają i rozlega się krzyk. Wszystko w porządku. Bawimy się dalej. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Muzyka, taniec, zapomnienie.

Niedziela.

Dziś wracają. Z domu nie wychodzę. Sprzątanie. Żeby byli zadowoleni, to jeszcze pranie zrobię. Cały czas komputer i otwarta książka. Siedzę, a przed oczyma scenariusze myśli. Psychika leniwa tak samo jak ciało. Nawet oczy czytać odmawiają. Zamykają się samoistnie. Dzwonek do drzwi.

- Spałaś! Jak zwykle! Miałaś się uczyć! Nic w domu nie zrobione... Kwiatki miałaś podlać!

- Przecież wszystko jest ogarnięte, sama robiłam porządki.

- Nie, jesteś nieodpowiedzialna. Tylko na kilka dni wyjechać i już kwiatki uschły! Przecież mówiliśmy Ci, żebyś je podlała!

Łza w oku. No tak, kwiatków nie podlałam.



Samotna kobieta

- Mamo! Mamo! Ona znowu robi kupę w moim pokoju! - Słyszę głos Janka niemilosiernie i z obrzydzeniem wzywającego mnie na pomoc.

- Kochanie, przecież to nie bomba, zaraz przyjdę i posprzątam.

Mała, niespełna roczna snajperka spuszcza swoje monstrialne bomby do swojego niewiele od niej większego łóżeczka.

- Fuj! Mamo! Jak ty to możesz brać do ręki?!

- Januś, tłumaczyłam Ci, dzielisz pokój z siostrzyczką, musisz przyzwycząić się do tego typu sytuacji

- Ale mamo! Ona jest obrzydliwa! Czy naprawdę muszę?

- Obawiam się, że prędzej czy później będziesz musiał stawić czoła nawet większym wyznaniom, poza tym...

- Kasiu! Kasia! Gdzie mój krawat, ten fioletowy! Wiesz, że zawsze zakłada go na ważne spotkania w pracy! Kaśka, tylko mi nie mów, że go nie uprałaś!

No nie, teraz on. Akurat w chwili, w której moje oczy widzą tylko ogromną, brązowo-płynną plamę na bielutkiej pielusze. Jedną ręką zabawiam małą, drugą wycieram miejsce tak zwanej zbrodni, do tego jedno oko non stop zerka na Janka, bo przecież żelazko tak blisko...

- Leży na desce do prasowania!

Uroczyście rozwiązuję problem krawata.

- Kasiu, Kasiu, powąchaj, którą wodę wybrać? Cardin trochę za słodka, prawda?

Mam ochotę odrzyknąć, by sam zdecydował, gdyż jedyna woń otaczająca moje wałki na głowie pochodzi od naszej córki.

- Cardin jest dobra. - Mówię z udawaną pewnością swojej racji. W końcu, teoretycznie rzecz biorąc, w małej sali konferencyjnej pełnej pobudzonych słodkimi kawami biznesmenów, woń wody kolońskiej będzie odstraszała już na odległość 20 cm. Może dlatego jego działanie jest tak drastyczne dla otoczenia, że każda żona na odczepnego doradza mężowi perfumy...

- Mamo, kiedy mam założyć buty? Bo spóźnię się do szkoły!

- Zapytaj się taty Jasiu, on Cię dzisiaj zawozi.

- Co?

Wiedziałam! Zdziwiony głos Tomka z łazienki, pewnie znowu zapomniał.

- Ja nie mogę! Przecież wtedy sam nie zdążę..., nie możesz Ty spełnić tej powinności, dobra kobieto?

Pyta z tym swoim dzikim uśmieszkiem na nieogolonej, pociągłej twarzy, na której mam ochotę odznaczyć nagrzone do czerwoności żelazko. Patrząc więc na niego wzrokiem wściekle ironicznym i zauważam, iż dziki uśmieszek nabrał nieco bardziej ucywilizowanego wyglądu. Phi..., ciekawe dlaczego... Wiem, że nie muszę już nic dodawać, ale wyobrażam sobie siebie samą z miną współczesnej matki-Polki i na dodatek kiwającej się we wszystkie strony z tonącym we łzach maluszkiem. Ups... zapomniałam, że żyjemy w czasach udomowionego feminizmu, dlatego „kiwam się z tonącą we łzach maluszką”. (Już 7:40 – pierwsza kolka, kolejny punkt z porannego planu dnia odhaczony). Po prostu muszę wypowiedzieć parę słów złości. Tak, na dopełnienie obrazka.

- A jak wyobrażasz sobie mnie za kółkiem karmiącą? Mam nogami przytrzymać kierownicę, czy może dać małej poprowadzić? Poza tym jako jedyna nadal jestem w piżamie.

- W porządku..., Janek, wkładaj kurtkę, jedziemy. Swoją drogą, miałaś cały ranek na wyszykowanie się, wstałaś najwcześniej.

- Tak, oczywiście, ale zanim zdążę zająć się sobą, mam trójkę dzieci do wyszykowania.

- O, przepraszam! Czy to aluzja do mnie, a może o czymś nie wiem?

- A komu musiałam prasować dwa garnitury o 7:00 rano, bo przy śniadaniu pobrudził się twarogiem?

- Nie będę się kłócił z rana, czeka mnie ciężki dzień... Wrócę o 16:00, pa!

- Pa, mamo!

- Nie tylko Ty będziesz miał ciężki dzień – dodaję pod nosem – Miłego dnia, panowie! Trzask grubych, drewnianych drzwi. Nie cierpię tego dźwięku, szczególnie gdy dochodzi 8:00. Brzmi niczym gong rozpoczynający zmywanie, wycieranie i mieszanie w garnkach, przy akompaniamencie płaczu córki. Mam na to 8 godzin (tak, zaledwie!). W kuchni zawsze włączam radio, które mnie uspokaja. Żadnych rąk do pomocy.

Tak właśnie kończy się moja ulubiona pora dnia – poranek. Dlaczego ulubiona? Ponieważ wtedy czuję, że żyję, dzieje się najwięcej, ten zgiełk, pośpiech, niektóre ostre słowa. Mimo wszystko, dzięki nim mam ochotę zabrać się do dalszych czynności dnia codziennego. No właśnie, codziennego, rutynowego. Patrzę na Julę i próbuję otworzyć usta w celu nawiązania interesującej rozmowy politycznej. Jednak szybko rezygnuję, gdy zauważam kroplę śliny cieknącej po jej brodzie i pospiesznie wycieram.

- Lepiej nie... jeszcze z nadmiaru emocji mnie także oplujesz, mała, i co będzie?

Mówię tak naprawdę sama do siebie, ze smutnym uśmiechem. Chociaż jest w tym trochę racji. To ja powinnam pluć sobie w brodę za rzucenie kariery zbyt wcześnie. I tak w milczeniu zrobię za słoną zupę, uprzątnę mieszkanie, na koniec wysłucham narzekań na szefa. Nie... nie od koleżanki na tak zwanych plotach, bo te opuściły miasto dobre parę lat temu. Też mogłam, a zrezygnowałam. Głupia. Z biegiem dni tracę już resztki entuzjazmu na cokolwiek. Póki co, jutro obudzę się znowu jako pierwsza, dla tych kilku chwil. Może po to, by wydłużyć je chociaż minutę? Nacieszę się nimi do syta. Zasolę zupę, pomilczę i posprzątam tylko po to, by po raz kolejny wyszykować „moich” do pracy i do szkoły. Zdążę jeszcze poczuć, jak bardzo ich kocham, i przekażę im kilka promyków na dobry dzień.



Cyprian Norwid, Maria Kalergis, rysunek z roku 1845.

Jesteś wadliwa

Wrzask wprost do ucha, który wywołuje ciarki na całym ciele. Jedno kopnięcie, drugie - ile jeszcze? Wyuzdany śmiech, śmiech szaleńczy - czuć w nim władzę. Tupot kroków, coraz bardziej cichy i cichy, i ledwo słyszalny ... i... już nie słyszać nic. Rosnąca ulga czy napięcie? Właściwie, trudno się zdecydować. Nie ma czasu na zastanowienie, cisza się kończy, jeden krok, drugi, trzaskanie.

- Nie znudzisz się tu, kochanie, umysł jest głęboki, może nawet nie ma żadnych granic?

Nie ma już wrzasków, a jedynie szept, szept tak brudny, że wypowiedana treść wydaje się być poza wszelkimi normami, poza granicami.

- Brzydę się ciebie, twoich nazbyt ułożonych włosów, rumianych policzków. Tych samych, w których pojawiały się te dołeczki, tak uwielbiane przez wszystkich wokół. Co w nich wspaniałego? Stajesz się przez nie jeszcze bardziej odrzucająca.

Żadnej odpowiedzi - zaklejone usta, aparat mowy niezdolny do użycia. Nie wierć się, nic ci to nie pomoże. Taśma jest mocna, najwyższej jakości. Za mało mięśni na wygranie tej bitwy. I siły, ambicji, samozaparcia. Słaby model z ciebie. Cholernie wadliwy. Nienaprawialny chyba.

Kolejne kopnięcie, z zawiścią - ile jeszcze można tracić na ciebie czasu i energii?

- Nie łudź się, już więcej nie zadzwonimy, nikt za ciebie nie zapłaci. Bo i po co? To był kiepski pomysł brać cię tu, zakładnik z ciebie żaden. Ale SzeF mówił co innego. SzeF zawsze ma rację, ale nie tym razem. Jednak podobno nawet jak nie ma racji, to i tak ją ma. Ma na to papiery - zna się na tym.

Lecą łzy, krew, pot. **JESTEŚ NIEREFORMOWALNA**. Masz już dość kolejnych ciosów, kolejnych słów. One nie odlatują razem z wiatrem - wdychamy je razem z tlenem, z tym co jest nam niezbędne, dostajemy gratis złośliwy wirus.

- No i co z tego, że złośliwy. Są lekarstwa, SzeF tak mówi.

Lekarstwa? Weź jedną tabletkę, dwie, weź całe opakowanie. Poskaczysz trochę do samych chmur, popatrzysz na wyostrzone kolory, uśmiech nie będzie schodził ci z twarzy. Dołeczki będą niezniszczalne, a ludzie będą popadali w zachwyt na ich widok. **ALE CO POTEM?** Potem trzeba odstawić leki, w końcu wątroba nie jest niezniszczalna. Tak samo jak dołeczki nie są, przekonasz się o tym. Może już się przekonałaś?

- Policja też cię już nie szuka. Zdechniesz tu jak pies. Tylko nas opóźniasz. Wyfrajerowali mnie. Muszę się z tobą męczyć. Nie wiem, ile wytrzymamy. SzeF mówi, że jeśli się zakolegujemy, to nie przetrwamy zbyt długo.

Kolejne godziny, kolejne dni.

- Żyjemy ze sobą już dość długo, brzydzisz mnie coraz bardziej - tworzymy symbiozę, wiesz? Mutualizm.

Jednak tak naprawdę to nie jest żaden mutualizm. Kto tu ma korzyści? Pasożytnictwo w czystej postaci. Policzki nie są już rumiane, włosy porzrucane w każdym kierunku, a dołeczki ... To one w ogóle istniały?

Już nawet nie chcesz wydostać się z uścisków tej taśmy. Może nawet zaczyna ci się to podobać? Może jest już za późno? Może trzymacie się już razem? Może SzeF miał rację? SzeF ma zawsze rację.

Wszystko ma już taki sam kolor, nawet krew już nie leci. Już nie płaczesz, już nie masz napadów gorąca. Istniejesz tak w ... w czym ty w ogóle istniejesz ? Czy ty w ogóle jeszcze istniejesz? Ty znikasz. Stoi nad tobą twój nowy przyjaciel - pasożyt. Osłania cię całą. Już nawet nie kopie, już nic nie boli. Już się nie łudzi, telefon nie zadzwoni. Nikt cię stąd nie zabierze. Żaden okup nie wpłynie na to ich konto bankowe. Już policja cię nie szuka. Już nawet Szef się tobą nie interesuje. Jesteś tylko ty i on. ON? A może to właściwie jest ONA? ONO?

Kim wy teraz jesteście? Co wy tworzycie?

- Masz, odkleiliśmy taśmę. Nie jest ci już potrzebna. Tworzymy już jedność. Nie będziesz się buntowała.

I teraz tak siedzisz. Siedzisz tak do dzisiaj. W tej samej pozycji, ręce skrzyżowane, jedna blisko drugiej. Patrzysz prosto przed siebie. Już wiesz, że ono miało rację, przepelnia cię brzydota. Brzydota umysłu, brzydota ciała. Obszernie myśli krążą po głowie, widzisz to w swoim odbiciu. Każdy to widzi. Ale kogo to interesuje. To, co jest stwierdzone naukowo, przestaje być sensacją. Masz to już na papierze. JESTEŚ WADLIWA, tak po prostu.



Uroczka

- Cześć, mamo. Co na obiad? – tradycyjne powitanie z mojej strony, zwłaszcza wtedy, gdy wracam ze szkoły bardzo późno. Nauczyciele wymyślają nam jakieś kółka zainteresowań – w praktyce obowiązkowe – i tak to jest. Wolałabym już skończyć naukę i pracować. Po pracy przynajmniej nie musiałabym odrabiać lekcji i uczyć się do późnej nocy.

Wchodzę do gabinetu. Mama sprawdza klasówki gimnazjalistów. Żeby nie było – cofam to, co przed chwilą powiedziałam.

- Jestem strasznie zapracowana. Odgrzej sobie zupę, córciu – mama nawet nie odrywa oczu od stosu kartek. – Ja już nie mam siły. Znów myli im się Mickiewicz ze Słowackim! Nie mogę już tego czytać.

- Biedactwo. Życie to cierpliwe znoszenie głupszych, mamo.

Po zjedzeniu niedobrej zupy – nigdy więcej nie odgrzeję nic w mikrofalówce – wchodzę do swojego pokoju.

No nie, już wyczuła.

Nadciąga smarkuła.

- A ty co tak późno, stara panno, na randce byłaś? – jak zawsze dokucza mi w ten sam sposób. Nie lubię tego. To nie jest przyjemne, gdy ktoś wytyka takie rzeczy. Gdyby każdy zaczął w pierwszej kolejności od krytykowania siebie zamiast innych, świat byłby o wiele lepszy.

- Przestań mnie denerwować i lepiej zajmij się swoim chłopaczkiem. Całował się w parku z jakąś dziunią – przynajmniej tak mogę się odegrać. Z jej chłoptasia jest niezły pies na baby.

- Nie kłam, z nikim się nie całował! Ufam mu. – „Przestań piszczeć, wieśniaro!” - to pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

- Pierwsza zasada: ufaj i sprawdzaj – siłę się na bardziej inteligentną ripostę.

- Skoro jesteś taka mądra w sprawach miłosnych, to dlaczego żaden cię nie chce?

- Wyjazd, gówniario! Nikt cię tu nie zapraszał – mam już dosyć.

- Prawda boli, stara panno!

- Wypad!

- Jak będę chciała!

Skoro ona nie chce, to ja wychodzę. Z młodszymi siostrami nie da się wytrzymać.

Tak szczerze mówiąc, to zrobiło mi się przykro.

Jedyne lekarstwo – biorę kask, kluczyki i prawo jazdy. Schodzę do garażu.

Motor wyprowadzony.

- Dzień dobry! – krzyczy zziąjany dzieciak biegnący za piłką. Nie wierzę. Naprawdę jestem aż tak stara? Przecież mam jeszcze „naście” lat!

W głowie zapala się żarówka: „stara panna – on wie!”.

Jak ja bym cię, dzieciaku, chwyciła za czuprynę...

5 kilometrów później czuję, że przeszło mi zdenerwowanie. Tak ma chyba każdy, gdy ucieka się do robienia czegoś, co kocha. To rutyna, która nigdy się nie nudzi. Pewnie na takiej samej zasadzie działa małżeństwo.

Zwalnia. Gaśnie.

„Co się dzieje?”

Odpalam. Ani drgnie. „O co chodzi, do cholery?!”

Paliwo? Przełączam na rezerwę. Odpalam – nic. Otwieram wlew. I tak nic nie widać, bo już robi się ciemno.

Schodzę z motoru, z trudem nim potrząsam.

Nic nie chlupie. Nie ma benzyny.

Tak to jest, jak się wsiada wkurzonym na motor. Co robić? Mama nie ma prawa jazdy, ta gówniara to już w ogóle. Nawet gdyby miała, to bym do niej nie zadzwoniła! Nie ma opcji.

Ale ktoś musi mi pomóc.

Bartek.

Szczęście, że wzięłam komórkę. Dzwonię.

- Cześć Bartek, mam problem. Masz benzynę? Motor mi stanął koło Hitlera, wiesz, tego rok starszego od nas. – sapiącym głosem cedzę zdania do słuchawki.

- No mam, ale chyba nie mogę przyjechać. Ostatnio bez powodu gaśnie mi motor, a tata nie miał czasu spojrzeć, co się z nim dzieje.

- Boisz się? Ale z ciebie facet. Zero odwagi i ryzyka! Tylko ty możesz mi pomóc. Nikt inny w tej zapyziałej wsi nie jeździ na motorze!

- Dobra, zaraz będę. Czyli koło Hitlera?

- No. – nie ma to jak krótka i konkretna odpowiedź. I mały sekret: takie zarzucenie chłopakowi braku męskości zawsze działa. Taki miniszantazyk.

Czas dłuży się niemiłosiernie. Po jakichś 10 minutach widzę w oddali czarny motor. To Bartek. Tylko czemu tak wolno?

Wyteżam wzrok. Pcha go, czy co?

Po kolejnych 5 minutach przyczołguje się razem ze swoją maszyną.

- Zgasł, skurczybyk i nie chce odpalić! – niezłe się chłopak napocił. Po skroni spływa kropla potu. – Dzwoniłem już do ojca. Właśnie wraca z Warszawy. Dopiero za godzinę nam pomoże.

- Czyli co robimy? – głupie pytanie z mojej strony.

- Czekamy.

Jakieś 25 minut i dwie mżawki później zaczyna mi się robić zimno. Rozmowa przestała się kleić, za to on klei się do mnie. Porażka. Gdyby nie to, że jego tata do nas przyjedzie, dostałby już dawno w pysk.

- Bo wiesz – o nie, sili się na słodkie słówka – naprawdę bardzo mi się podobasz. Jak nikt inny. Może chciałabyś czasem iść ze mną na spacer, albo na lody?

- Ty masz dziewczynę, świnię! – wszystko we mnie buzuje. Podnoszę się z zimnej ziemi. Nie słucham bzdurnych tłumaczeń i głupich tekstów. Pchanie motoru 5 kilometrów do domu w deszczową pogodę wcale mi się nie uśmiecha, ale nie mam wyboru. Na szczęście Bartek nie biegnie za mną.

Dzwonię do mamy. Czuję, że się popłaczę.

- Wrócę bardzo późno do domu, mamo. Nie martw się, wszystko jest dobrze.

Bołą mnie mięśnie. Zaraz nie dam rady. Wcale nie jest dobrze. Znowu pada deszcz i, jakby to było zupełnie normalne, płaczę, jak gdyby jemu do towarzystwa.

Po dwóch latach od tego pechowego wieczoru wyszło tak, że przekonałam się do Bartka. Nieważne, jak to było. Teraz jeździmy na jednym motorze. Słyszymy ten sam dźwięk, czujemy tę samą prędkość i widzimy ten sam cel, który wydaje się być nieosiągalny, jak widnokrąg, który przesuwają się przed nami, gdy tylko my ruszymy do przodu.

Tak samo jest w życiu.

P.S. Boga nie ma.

„I rzekł Pan Bóg: Oto człowiek stał się taki jak my: zna dobro i zło. Byleby tylko nie wyciągnął teraz ręki swej i nie zerwał owocu także z drzewa życia, i nie zjadł, a potem żył na wieki! Odprawił go więc Pan Bóg z ogrodu Eden, aby uprawiał ziemię, z której został wzięty. I tak wygnał człowieka, a na wschód od ogrodu Eden umieścił cheruby i płomienisty miecz wirujący, aby strzegły drogi do drzewa życia.”

(1. Moj. 3.22-24)

Magda ledwo co weszła do domu, gdy usłyszała jak dzwoni jej komórka. Zdjęła czapkę i szalik, ściągnęła kozaki i w kurtce pobiegła do pokoju, żeby odebrać, otrzepując się przy tym ze śniegu. Nie zdążyła. Na wyświetlaczu widniało siedem nieodebranych połączeń od Hanki. Oddzwoniła.

- Co się stało? - spytała na samym początku.

- Nic - odezwała się Hanka zachrypniętym jak zwykle głosem - Nie odbierasz moich telefonów.

Upór i złośliwość. Te słowa najtrafniej określają charakter Hanki.

- Nie było mnie w domu, a nie miałam przy sobie komórki.

- Gdzie się włóczysz? Jest zimno, w taką pogodę siedzi się w domu i ogląda komedie romantyczne, a nie chodzi się do kościoła - to zdanie zabrzmiało jak wyrzut, który Magda słyszała już nie pierwszy raz - Sama jesteś, prawda?

- No tak, i co z tego?

- No. Nikt cię nie zmusza, żebyś gdzieś wychodziła. Chyba że do mnie, pooglądać filmy.

- Nikt mnie nigdy do niczego nie zmusza.

- Dobra, dobra, to co? Za dziesięć minut widzę cię u mnie.

- Niech będzie.

Magda rzuciła telefon na łóżko i zdjęła kurtkę, a następnie odwiesiła ją na wieszak. Prawda, rodziców nie było w domu, miała 'wolną wolę', ale nie odbierała tego tak jak Hanka. Gdyby ta była sama w domu na pewno urządziłaby wielką imprezę na pół miasta, jeśli nie na całe, a dom wyglądałby jak po przejściu tornada albo po trzęsieniu ziemi. Na szczęście jej rodzice zdają sobie z tego sprawę i nie zostawiają jej samej w domu. Magda w tym czasie chciała odpocząć od obowiązków domowych. Ale nie potrafiła odmówić Hance.

Zapiekanka znaleziona w lodówce nie była zbyt dobra, jednak Magda chcąc nie chcąc zmusiła się, żeby ją zjeść. Później pozmywała naczynia i poszła się przebrać. Po piętnastu minutach zamykała za sobą drzwi. Miała na sobie ten sam niebieski szalik i czapkę z kompletem. Jej smoliste loki kontrastowały z białą kurtką. Nowy zakup, z którego Magda była bardzo zadowolona. W sam raz na ekstremalne warunki.

Pięć minut drogi do domu Hanki sprawiło, że Magda nawet nie odczuła niskiej temperatury.

- No, tempo to ty masz niezłe - Hanka stała w drzwiach oparta o futrynę i z założonymi rękami spoglądała na Magdę.

- Spadaj - Magda nie lubiła ironii Hanki.

- Kawalek drogi, a ty już cała jesteś w śniegu! - skomentowała Hanka rozkładając ręce.

Magda zostawiła kurtkę i buty przy drzwiach wejściowych. Wciąż miała mokre od śniegu rzęsy.

- To co, gdzie ci starszych wywiało? - spytała Hanka wychodząc z pokoju, co trochę zdezorientowało Magdę. Nie wiedziała, czy ma czekać aż Hanka wróci, czy krzyknąć do niej. Wybrała drugą opcję.

- Pojechali do cioci, mówiłam ci, że niedawno urodziła.

- A tak! - odparła Hanka z pokoju obok - A wujek jest w trasie, tak?

- Tak.

- To takie dziwne, nie rozumiem, niby się kochają, a praktycznie nie mieszkają razem. A teraz co? Ciocia jest chora, tak? - stanęła w progu.

- Myślałam, że nie słuchałaś, jak ci to wczoraj mówiłam.

- Nieważne... - zbyła ją - Ciocia jest chora i twoi rodzice muszą jej pomagać w opiece nad dzieckiem, bo ojciec tego dziecka jeździ sobie gdzieś po Europie. Zobacz, czy twój tata kiedykolwiek wyjechał na tak długo?

Magda nie zdążyła odpowiedzieć, bo usłyszała dźwięk mikrofalówki i Hanka od razu zniknęła jej z oczu. Poczekała chwilę.

- Lubisz naleśniki z dżemem? Mniejsza o to, nie masz wyjścia. Sama robiłam, dziś rano.

- Zjadliwe? - spytała Magda.

- Ujdzie - postawiła talerz na stoliku, po czym znów wyszła i przyniosła dwa czyste talerze i dżem - Truskawkowy. Innego nie mam.

Hanka sięgnęła jeszcze po kilka płyt leżących obok telewizora.

- Wybierz coś - poprosiła Magdę i usiadła na kanapie obok niej - Słuchaj, twoi rodzice nawet na zakupy jeżdżą razem. Moi pozabijaliby się, gdyby poszli razem do sklepu. Ojciec jest za bardzo niecierpliwy.

Magda jednym uchem słuchała, co mówi do niej Hanka. Bardziej skupiła się na wyborze jakiegoś filmu. Przy niektórych płytach musiała nieźle wyteńczyć wzrok, żeby rozczytać bazgroły Hanki. Tytuły wydawały się dość dziwne. Część z tych filmów już widziała, ale w końcu wybrała. Podała płytę Hance.

- O! Jeszcze tego nie widziałam, musi być dobre.

Włączyła płytę. Magda nie spodziewała się komedii romantycznej, szczególnie po tytule "P.S. Boga nie ma". Dramat z licznymi wątkami miłosnymi. Gdzie ludzie w imię Boga dokonują wielu aktów zła. Dobra obsada, efekty specjalne, ale treść nie do końca ją zachwycała. Tak minęły ponad dwie godziny patrzenia w ekran i jedzenia naleśników, smacznym, trzeba przyznać, które trzeba było odgrzać ponownie.

- Widzisz? Boga nie ma. Nie módl się tak do Niego - powiedziała Hanka.

- To film. Fikcja. To się nie dzieje naprawdę - odparła Magda.

- No, ale ktoś ten film wymyślił. Nie bez powodu.

Magda zirytowała się.

- Twoje ateistyczne poglądy na mnie nie działają.

- Tak, tak. A jaką masz pewność, że Bóg istnieje?

- Trzeba w to wierzyć.

Hanka wolno pokiwała głową i przymrużyła oczy.

- Nie rozmawiajmy o tym.

Mama Hanki przyniosła dziewczynom kanapki, gdy te oglądały kolejny film, tym razem już komedię, jak planowały. Temat się urwał. Po godzinie dwudziestej trzeciej, gdy Magda miała wracać do domu.

- Pójdiesz sama? Czy cię odprowadzić? - spytała Hanka, gdy Magda stała już na zewnątrz.

- Dam sobie radę - machnęła ręką, co sprawiło Hance wielką ulgę.

Była śpiąca. Chciała szybko znaleźć się w domu.

- Czemu jeszcze nie śpisz? - spytała mama troskliwym głosem.
- Bo ze mną rozmawiasz.
- Wcześniej nie odbierałaś.

Mama nigdy nie dzwoniła na komórkę, zazwyczaj wybijała numer stacjonarny. Magda uświadomiła sobie, że przez cały dzień nie rozmawiała z mamą.

- Byłam u Hanki, oglądałyśmy filmy.
- A byłaś w kościele?
- Tak.
- To dobrze.
- A co u cioci?

Rozmowa przeciągnęła się. Magda trochę żałowała, że nie pojechała z rodzicami. Mogłaby zobaczyć synka cioci i też trochę jej pomóc. Jednak, gdy już się rozłączyła, zaczęła się zastanawiać, czemu rodzice nie dają jej woli wyboru religii, tak jak Hance? Nigdy wcześniej nie myślała o tym. Wiedziała, że nie jest wierząca, a jej rodzice wierzący, ale niepraktykujący. W domu Magdy atmosfera była zupełnie inna. Od początku wychowywała się w wierze katolickiej, ona i jej brat, który założył już rodzinę. Nie charakter, ale kwestia wiary już dawno temu stała się największą różnicą między przyjaciółkami. Czasami klóciły się o to. Magda jednak nie chciała się przyznawać, gdy argumenty Hanki były na tyle przekonujące, że wątpiła w swoje.

Pamiętnik! Zapomniała o wpisie!

*Czy Boga nie ma? Przecież jest. Ja to wiem. A Hanka niech myśli, co chce.
Magda.*

Nie pisała dat, a jej wpisy nie zajmowały nigdy więcej niż pół strony. Zakończyła dzień krótką myślą. Położyła się spać. Zasnęła szybko.

Niedziela. Początek ferii.

"P.S. Boga nie ma".

Magda dostawała takie wiadomości od tygodnia. Hanka od dawna próbowała zmienić jej tok myślenia, póki co, na marne. Właśnie, póki co. Magda zaczynała wstydzić się tego, że wierzy. Zawsze, gdy chciała już przestać o tym myśleć, Hanka jej przypominała.

- Otworzysz? - spytała mama, gdy Magda oglądała telewizję.

Dziwne, nie słyszała nawet dzwонka do drzwi. Mama musiała widzieć Hankę przez okno w kuchni.

- Teraz ty czekasz na mnie w progu - skomentowała.
- Tak wyszło - odparła sucho Magda.

Hanka nie weszła do środka.

- Mam propozycję - jej uśmiech zdradzał, że znowu wymyśliła coś głupiego.
- Nie ważne, co to, ale ja zaraz jadę do kościoła.

- Ha! - Hanka często śmiała się z faktu, że Magda jest 'nazbyt' wierząca - Masz dziesięć minut, żeby się wykręcić, czekam tutaj.

Oczy Magdy powiększyły się chyba dwukrotnie, a przynajmniej takie było wrażenie.

- Nie będę się wykręcać...

- Słuchaj - przerwała jej - Albo teraz coś wymyślisz, albo ja będę ci wysyłała codziennie sms-y i przypominała o tym, że 'Boga nie ma'. Bo nie ma, taka jest prawda. No, już, nie patrz tak na mnie, idź! - machnęła ręką.

Magda, wedle woli Hanki, zamknęła drzwi. Po chwili wyszła na zewnątrz.

- No, widzę, że cztery minuty przed czasem. Brawo!

- Liczyłeś czas? O co ci chodzi?

- O nic, takie tam... A co powiedziałaś rodzicom? - Wydawała się opętana chęcią odciążenia Magdy od jej niedzielного obowiązku, ale przyjaciółka starała się nie dopuszczać do siebie tej myśli, tym bardziej nie zagłębiać się w jej umysł.

- Że pójdę o innej godzinie.

Może to dziwne, ale przez głowę Magdy cały czas przewijało się jedno pytanie. Czy warto wierzyć? Ktoś inny pewnie nie przejmowałby się takimi rozważaniami, ale ona miała duszę romantyczki, inaczej postrzegą świat.

Hanka zaprowadziła Magdę do parku. Usiadły na ławce, gdzie przesiadywały w wakacje. Magdzie nie odpowiadało to, że cała ławka była w śniegu, za to Hanka lekceważyła wszystkie przeciwności.

- Zobacz - wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni płaszcza zeszyt. Posklejany taśmą, poplamiony i ozdobiony wymyślnymi szlaczkami - Nigdy tego nie widziałas, prawda?

Magda pokiwała przecząco głową.

- To słuchaj. Tu zapisuję moje wątpliwości. Wiara jest dla mnie czymś nie do ogarnięcia. I patrz - otworzyła zeszyt - Zdanie pierwsze. 'Po co jest człowiek?' Umiesz odpowiedzieć?

- To głupie pytanie - odparła Magda.

- Myślałam, że powiesz coś w rodzaju 'Bóg stworzył człowieka i tak musi być', no jak widać, chyba cię nie znam aż tak dobrze. No ale kontynuujmy. Jedni twierdzą, że człowiek żyje po to, żeby mieć życie wieczne. Ja twierdzę, że życie nie ma znaczenia. Żyję, bo żyję. Dla siebie.

- Dziwna jesteś - skomentowała Magda - Dalej masz coś ciekawszego?

- Oczywiście - przekreśliła kartkę - Pytanie number two. 'Dlaczego Bóg udaje, że kocha człowieka?' Patrz, niby jest taki miłosierny i wszechmogący, ale czemu wyrzucił ludzi z Raju, co?

- Przestań, jakoś głupio się czuję, gdy z tobą o tym rozmawiam.

- Wątpisz, przyznaj.

Magda nie mogła tego przyznać. Jeszcze nie. Ale czuła się, jakby za chwilę miała się przełamać.

- Kontynuuj - powiedziała.

Hanka wzruszyła ramionami.

- To jest chyba najlepsze. To znaczy, może nie najlepsze, ale najciekawsze. 'Co się dzieje po śmierci?'

Magda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sam fakt rozmowy z Hanką na tematy, które nigdy nie były poruszane w ich relacjach, sprawia, że Magda ma mętlik w głowie. Z jednej strony chciałaby rozmawiać o tym ze swoją przyjaciółką, z drugiej jednak uważała to za niedorzeczność. Co kogo interesuje jej wiara?

Właśnie w tym momencie Magda uświadomiła sobie, że wiara nie jest ważna.

- Słyszysz?

- Tak, przepraszam, zamyśliłam się.

- No więc? Co się dzieje po śmierci?

- Jaka jest twoja teoria? Słucham.

Hanka poczuła się dumna, że Magda wreszcie uznaje jej zdanie za ważne.

- Tutaj mam trzy opcje. Każda zła. Ale posłuchaj. Pierwsza. Nie ważne czy Bóg jest, czy go nie ma, ale człowiek po śmierci czuje się jak we śnie. Nie wie, że to sen, nie wie, że umarł. Widzi obrazy, zwyczajnie sobie śpi. Ciekawa teoria, prawda?

- Nawet - Magda coraz odważniej przyznawała rację Hance, tym bardziej, że po krótkim zastanowieniu, sama przystała na to zdanie.

- To posłuchaj drugiej teorii. Jest Bóg. Jest życie wieczne. No i jak człowiek umiera, to sobie biega po tej wieczności w nieskończoność, tak? I sobie teraz wyobraź, że tak biegasz, nic nie robisz i to nie będzie miało końca.

Magda doszła do wniosku, że słowa przyjaciółki mają sens. Może od tej pory będzie rozumiała jej podejście do wiary?

- Trochę straszne...

- Też tak twierdzisz? To dobrze, bo myślałam, że zaprzeczysz.

- Ale masz rację. Uwierz mi, chcę zaprzeczać, ale póki co mówisz w miarę z sensem.

- Pfff... w miarę! Dziękuję ci bardzo. Dobra, ostatnia teoria, też ciekawa. Nie ma Boga. Jesteś tylko człowiekiem. Masz świadomość, że żyjesz. Masz?

- No chyba każdy ma.

- Póki żyje, to ma. Jak umrze, traci wszystko. Nawet nie wie, że umarł, nic mu się nie śni i nawet nie może myśleć. Umierasz i cię nie ma. Koniec. Znikasz i nawet o tym nie wiesz.

Magda popatrzyła na Hankę.

- Ty mnie przerażasz - oznajmiła - Któregoś dnia będę miała przez ciebie koszmary, zobaczysz.

- Raczej ty je zobaczysz. W sumie, to cieszę się, że nie znam twoich myśli, bo bym chyba tego nie zmieściła w głowie.

Zaśmiały się obie.

- Słuchaj... Teraz możesz mnie zrozumieć, tak?

Hanka zawsze była porywcza, roztrzepana, czasem wredna, lubiła podpuszczać i szantażować. I choć znała się z Magdą około dziesięciu lat, jak widać, były sobie praktycznie obce.

- A najgorsze jest to, że muszę przyznać ci rację.

- O nie, tak nie ma - Hanka zamknęła zeszyt - Tego nie da się zrozumieć od razu. Trzeba czasu, dużo czasu, trzeba myśleć o tym dzień i noc. A potem trzeba gdzieś uciec. No i ja uciekłam w taki sposób, jak widzisz. Zajęłam się sprawami przyziemnymi. Bo gdybym tak myślała w kółko o tym, to bym chyba nie wytrzymała psychicznie. A teraz jest prościej. Ale, żeby nie było, nie chcę cię przekabacać. Masz tylko mnie zrozumieć. I nigdy do tego nie wracać.

Magda uśmiechnęła się.

- Spróbuję.

Przytuliły się do siebie.

- To co, gdzie idziemy teraz - Hanka podniosła się. Widać było, że chce szybko zmienić temat.

- Wiesz, widziałam u ciebie jeszcze kilka ciekawych filmów.

- Mama piekła dzisiaj jabłecznik. Jeśli tata go nie zjadł, to może jeszcze załapiemy się na kawałek.

- Głupia jesteś.

Noc dziewiąta. Dlaczego Boga nie ma? Dlaczego Bóg jest? Nie chce mi się już o tym myśleć. Ale i tak nie mogę spać.

Magda.

Lampka nocna oświetlała jedynie biurko i łóżko Magdy, a mimo to i tak raziła ją w oczy. Półmrok powodował dziwny nastrój. Magda zamknęła pamiętnik. Od dziesięciu dni treść była prawie identyczna.

A miała przecież o tym nie myśleć.

Założyła bluzę i wyszła poszukać jakichś leków na ból głowy. Paracetamol. Nic innego nie znalazła. Pewnie mama ma coś w torebce, ale nie chciała budzić jej w środku nocy, tym bardziej przeszukiwać torebkę bez jej zgody. Połknęła jedną tabletkę bez popijania. Czowała pulsowanie w głowie. Na wszelki wypadek wzięła jeszcze jedną, ale nie łykała jej. Zostawiła 'na wszelki wypadek'.

Ferie się kończą. Hanka gdzieś pojechała, jeszcze jej nie ma. Sama muszę się uporać z moimi problemami. Nie. To problemy Hanki. Ja tylko trochę w nich siedzę. No, może trochę bardziej.

Magda.

Schowała pamiętnik pod poduszkę. To było dziwne uczucie. Magdzie wydawało się, że jest podobna do Michasia, którego opisywał Sienkiewicz. Przeziębienie. Tak, to prawda. Magda zapomniała któreś nocy zamknąć okno. Była roztargniona. Owo przeziębienie źle komponowało się z jej stanem psychicznym.

Mama dopiero co wyszła z pokoju, zostawiając Magdzie kubek gorącej herbaty z cytryną. Prosiła córkę, żeby ta spróbowała zasnąć. Widać było, że jest zmęczona. Nie spała całą noc, siedziała przy niej, gdy ta nie mogła zasnąć przez gorączkę. Brała syropy, tabletki...

Trochę pomagało, ale większej różnicy nie było.

Mama chyba zapomniała o Paracetamolu znalezionym przez Magdę. Kto by pomyślał, że przez rozterki nad życiem po śmierci i chwilowo słabszy stan zdrowia Magda łykała już trzecią tabletkę tego dnia. Nie miała pojęcia, jakie leki podawała jej mama. Co prawda, nie obchodziło jej to. Chciała wreszcie wyzdrowieć.

Dlaczego Ktoś patrzy na mnie z góry i nie chce mi pomóc? Chcę tylko, żeby głowa przestała mnie boleć.

Magda.

P.S. Boga nie ma.

Magda czuła się źle. Widziała wszystko jak przez mgłę. Pamiętnik schowała pod łóżkiem, po omacku przykryła go bluzą, która wisiała na krześle. Gdzieś pod poduszką był jej telefon. Z początku nie mogła go znaleźć. Gdy już miała go w ręku, napisała wiadomość, krótką, ale zajęło jej to trochę więcej czasu.

"Pamiętnik za łóżkiem pod czerwoną bluzą. P.S. Boga nie ma."

- Uważaj! - Hanka jak zwykle zachrypniętym głosem krzyczała na dzieci biegające w parku. Tym razem jej ofiarą padł dziewięciolatek, który zagapił się i wbiegł na nią, wytrącając jej coś z ręki.

Śnieg stopniał, robiło się cieplej. Coraz więcej ludzi wychodziło na spacer.

Podniosła zeszyt i pamiętnik. Usiadła na ławce. Przeczytała kilka zdań swoich zapisków. To samo zrobiła z pamiętnikiem. Popatrzyła na kartki papieru, różniące się estetyką wpisy i charakterem pisma. Pamiętnik zamknęła i położyła na ławce obok siebie. Potem zerwała okładkę ze swojego zeszytu. Wyjęła zapalniczkę i podpaliła go. Po paru minutach nic już z niego nie zostało. Wyciągnęła telefon. 11:40. Schowała szybko pamiętnik do kieszeni, jednocześnie znajdując tam krzyżyk, który kiedyś należał do Magdy. Potem szybkim krokiem udała się w stronę kościoła.

Odwieczny porządek świata

Wreszcie koniec! Wrzucasz zeszyty do plecaka, w biegu porywasz kurtkę z szatni i wraz z tłumem pospolicie oryginalnych ludzi przepychasz się do drzwi. Każdy z nich chce być inny, więc wszyscy są tacy sami, każdy chce się wyróżniać, a w ostatecznym rozrachunku nie wyróżnia się nikt. Takie myśli nachodzą cię, kiedy obserwujesz ich ze zmrużonymi oczami i spoglądasz z politowaniem na usilne próby wybicia się, znalezienia czegoś, co nazywają „własnym stylem”.

Dzisiaj jednak nie masz czasu na rozważanie dziwnych zachowań ludzi, spieszysz się, to dzień, na który czekałeś prawie rok. Siedziałeś w ławce jak na szpilkach, nawet nauczyciele zauważyli, że jesteś trochę rozkojarzony. „Pamiętajcie, matura już za kilka miesięcy, a wy jak zwykle zajmujecie się wszystkim, tylko nie nauką. Żadnej przyszłości nie macie przed sobą, pewnie nawet gotować nie umiecie, będziecie kopać rowy.” – zwyczajowe kazanie matematyczki tym razem było skierowane głównie do ciebie. Wymamrotałeś niewyraźne przeprosiny, a w duchu uśmiechnąłeś się złośliwie. Co ona może wiedzieć, zapatrzona tylko w swoje cyferki i nie mająca pojęcia o rzeczach głębszych, przeżyciach niemal mistycznych i niezrozumiałych dla większości zamieszkującej świat.

Teraz w pośpiechu narzucasz kurtkę na ramiona, bo zimny wiatr okazuje się nie do zniesienia. Trochę żałujesz, że nie wzięłeś czegoś cieplejszego, ale radość w czystej postaci skutecznie zagłusza wszelkie inne odczucia. Dawno nie byłeś tak szczęśliwy. To dzisiaj, już dzisiaj! Nareszcie koniec oczekiwania, już nie musisz odliczać kolejnych dni do tego wydarzenia. Gdy powiedziałeś o tym kumplom z klasy, popatrzyli na ciebie dziwnie, wiedziałeś, że wyśmieją cię, kiedy tylko odejdiesz. Najlepszy przyjaciel obrzucił cię niepewnym spojrzeniem i złośliwie stwierdził, że masz dość nietypowy punkt widzenia na niektóre sprawy. Zabolalo, ale uznałeś, że nie warto przejmować się tym, jak postrzegają cię inni. Jednak w tej chwili to już nieważne, oni się nie liczą. Jeszcze kilkanaście minut i wreszcie ją zobaczysz, dotkniesz, zabierzesz do swojego domu. Przez nią się nie wyśpisz, ale na szczęście jutro jest sobota, nie będziesz musiał wcześniej wstawać. Idziesz, prawie biegniesz, czujesz, jakby wyrosły ci skrzydła. Uśmiechasz się do siebie, czym budzisz zgorszenie grupki starszerek przechodzących obok. Zapewne pomyślały, że zamiast ze szkoły wracasz z wagarów, nietrzeźwy albo naćpany, no bo jaki byłby inny powód tego, że szczerzysz się jak szalony? Dziwne, ludzie narzekają, że świat jest ponury, ale kiedy ktoś uśmiecha się, nie podając powodu, stwierdzają, że jest wariatem.

Przestajesz to roztrząsać, jesteś już przed swoim domem, musisz znaleźć klucze, które jak zawsze są na dnie plecaka. Wpadasz do kuchni, szybko zjadasz obiad i bierzesz ze swojego biurka przyszykowane wcześniej pieniądze. Oznajmiasz mamie, że musisz wyjść, w pośpiechu zakładasz buty i pędzisz na przystanek. Niecierpliwisz się, chociaż autobus spóźnia się tylko kilka minut. Kiedy już jesteś w środku, zdajesz sobie sprawę, że zapomniałeś telefonu. W pierwszej chwili chcesz wysiąść na kolejnym przystanku i wrócić do domu po komórkę, ale uświadamiasz sobie, że raczej nie będzie ci potrzebna. Przecież i tak za godzinę wrócisz, rodzice nie powinni się martwić. Przed tobą kilkanaście minut jazdy, zaczyna padać deszcz. Stoisz przy oknie, obserwując ściekające po szybie krople. Hipnotyzujące zjawisko. Za chwilę twój przystanek, zakładasz kaptur i przeciskasz się do drzwi. Ludzie zezują na ciebie, nie raczą przesunąć się, kiedy słyszą twoje „przepraszam”, więc próbujesz się przepchnąć obok kobiety z dzieckiem, która skutecznie tarasuje przejście.

Jakiś mężczyzna zaczyna komentować zachowanie młodzieży, która według niego jest niewychowana i bezczelna. Masz ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, żeby zastanowił się nad swoim własnym wychowaniem, ale ograniczasz się do rzucenia mu wściekłego spojrzenia. Pewnie przekonałeś go tym o słuszności jego poglądów. Trudno. Nie ty masz za zadanie zbawiać świat. Udaje ci się wysiąść z przepełnionego autobusu, oddychasz z ulgą i kierujesz się do księgarni oddalonej o kilkaset metrów od przystanku. Od razu wraca twój dobry humor. Jeszcze chwila i ją zobaczysz, będzie należała do ciebie i do nikogo innego. Wchodzisz do sklepu wypełnionego po brzegi książkami. Kluczysz między regałami wyższymi od dorosłego mężczyzny, czujesz się jak w labiryncie. Nagle ją dostrzegasz. Biegiesz do niej, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie pracownika księgarni, który właśnie przyszedł zapytać, w czym może ci pomóc. Łapiesz ją w ramiona, wpatrujesz się w nią z wyrazem uwielbienia na twarzy. Czujesz jej zapach, oszałamia cię bardziej niż najdroższe perfumy. Serce bije ci jak szalone, jakby miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Przytulasz ją mocno.

– Przepraszam, w czym mogę pomóc? Chciałem tylko powiedzieć, że za kilka minut zamykamy. Jeśli chce pan kupić tę książkę, to zapraszam to kasy. – pracownik księgarni stara się być uprzejmy, ale widzisz, że irytuje go twoje zachowanie. Zastanawiasz się, jak to jest, patrzeć na kolejne tomy jak na zwyczajne przedmioty. Nie zachwycać się zapachem papieru i świeżego druku. Nie czekać z niecierpliwością na wydanie opowieści zapowiadanej od dawna przez ulubionego pisarza. Czy wreszcie nie traktować książek jak najlepszych przyjaciół, którzy znają twoją duszę lepiej niż ty sam. Szybko płacisz i opuszczasz sklep. Nie rozumiesz niektórych ludzi, oni nie rozumieją ciebie. Cóż, życie. Odwieczny porządek świata.



<http://kultura.wp.pl/gid,14021363,img,14021364,kat,1011061,galeria.html>

EFEKT CIEMNOŚCI

"Czy widzicie tę historię? Czy widzicie cokolwiek? Wydaje mi się, że usiłuję opowiedzieć wam sen – staram się na próżno, bo żadna relacja ze snu nie może pokazać wrażenia, jakie wywiera, tego przemieszania absurdu, niespodzianki i oszołomienia wśród drżenia walki i buntu, tego wrażenia, że jest się schwytanym przez niewiarygodne – wrażenia, które jest istotą snu..."
– J. Conrad, „Jądro ciemności”

„Dorośliśmy. Wiem tylko to i wszystko inne nie ma znaczenia.”
– S. King, „Ostatni szczebel w drabinie”

W redakcji miesięcznika, dla którego pracuję, połowa miesiąca oznacza zawsze okres wzmózonej pracy. Pismo za kilka dni musi zostać wysłane do drukarni i do tego czasu wszystko trzeba zapiąć na ostatni guzik. Poza tym, najlepsze pomysły na artykuły przychodzą właśnie wtedy. Przyznam szczerze, że pomimo wielu lat w tym zawodzie nie udało mi się do końca zrozumieć tego fenomenu. Przez wiele dni nie dzieje się dosłownie nic, aż tu nagle pojawia się wiadomość, która wstrząsa światem filmu. Wtedy to, mówiąc kolokwialnie, wszystko bierze w łeb i ustalony plan pracy przestaje mieć znaczenie. Każdy, kto chce pracować w następnym miesiącu, zostaje po godzinach, by pisać, prowadzić zgryźliwe rozmowy telefonicznej i użerać się z korektą o każde słowo w tekście.

Tak też było i w tamten mroźny, listopadowy wieczór.

Już trzeci dzień siedziałem w redakcji dłużej niż powinienem. Co prawda, tym razem to nie ja zajmowałem się newsami (całe szczęście – najbardziej niewdzięczna robota), ale i tak miałem masę roboty. Dokończenie dwóch rozgrzebanych recenzji, spisanie nagranego wywiadu, przygotowanie okładki oraz szereg pomniejszych czynności wbrew pozorom zajmuje naprawdę mnóstwo czasu.

Przestałem liczyć, którą godzinę siedziałem przed komputerem. Wierście lub nie, ale szkoda na to nerwów. Zrezygnowany, rozejrzałem się po pomieszczeniu: biurko dalej mój kolega klócił się z jednym z reklamodawców:

– Nie możemy zamieścić państwa reklamy na szóstej stronie, od kilku miesięcy to miejsce jest zarezerwowane dla innej firmy! – wyraźnie wyczuwałem, że mój znajomy powoli traci panowanie nad sobą.

Rozmowa zakończyła się zerwaniem umowy, rzucając słuchawką i głośnym przekleństwem słyszonym w całej redakcji.

Uśmiechnąwszy się pod nosem, wstałem od biurka i powiedziałem do zdenerwowanego kolegi, że idę coś zjeść w McDonald's.

– Jak sobie chcesz – odburknął wciąż rozeźlony.

Pewnie myślicie, że w tym momencie zlekceważyłem obowiązki? Nie, skąd. To norma, że podczas takich dni, kiedy nie ma czasu na jedzenie, w którymś momencie ktoś z nas, redaktorów, wychodzi do jednej z pobliskich knajpek. Sam nie miałem nic w ustach od rana.

Zresztą, pół godziny w takim zamieszeniu (lub, jeśli wolicie – cyrku) nie robi większej różnicy. Zamiast do dwudziestej trzeciej posiedzi się do dwudziestej trzeciej trzydzieści. I tyle.

Włożyłem kurtkę i wyszedłem na dwór. Fast food znajdował się po drugiej stronie ulicy. Była już osiemnasta. W okolicy panował mrok, który rozświetlały jedynie światła przejeżdżających w pobliżu samochodów. Na ulicy, gdzie mieściła się nasza siedziba, z jakiegoś nikomu nieznanego powodu, rzadko kiedy działały latarnie.

Jak nietrudno się domyśleć, w „Macu” (określenie z czasów szkolnych) panował tłok. Ludzie nie chcąc marznąć na przystanku wstępowali do restauracji i przy okazji wzbogacali się o 5, 50 należne za duże frytki.

Odstawszy swoje (obiecane „pół godziny” poszło w niepamięć; trudno) zacząłem się rozglądać za wolnym stolikiem.

Marzenie. Wśród ogólnego ścisku ludzi w grubych kurtkach (co dawało wrażenie, że jesteśmy na Dworcu Centralnym w Warszawie) trudno było dostrzec wolne miejsce. Zrezygowany, poszedłem w kierunku parapetu okiennego; wtedy za mną rozległ się znajomy, choć dawno niesłyszany, głos.

– Jacek!

W geście przywitania podniósł rękę mój dawny przyjaciel, a raczej kolega; nie znaleźliśmy się nie wiadomo jak dobrze, jeszcze z gimnazjum. Wiktor był lekarzem w pobliskim szpitalu i od czasu do czasu (tak, „od czasu do czasu”, nie widziałem go rok czy półtora...) natrafialiśmy na siebie gdzieś na mieście.

Podszedłem do jego stolika; naprzeciw stało puste krzesło.

– Dziękuję, stary – odrzekłem ze szczerym zadowoleniem.

Zdjąłem kurtkę i spytałem (uprzejmość przede wszystkim – w tym wypadku nawet uzasadniona), co u niego słychać. Przez chwilę rozmawialiśmy o tematach zupełnie ogólnych: pracy, pogodzie, korkach na mieście... Odkąd pamiętam był zawsze poważny. Tak samo i teraz. Rozmawiał uprzejmie, ale cały czas zachowywał dystans. Miałem wrażenie, że jest nieco spięty i czeka na coś z niecierpliwością. Kiedy rozmowa przestawała się kleić, zadałem standardowe pytanie:

– Spotykasz kogoś z naszej dawnej klasy?

Zmiana jaka w nim zaszła była natychmiastowa. Rysy twarzy, jakby mu się napięły, a oczy przyjęły czujniejszy wyraz. Patrzył na mnie w milczeniu. Miałem spytać, czy wszystko w porządku, już otwierałem usta, gdy powiedział:

– Emma nie żyje.

Powiedział to dosyć spokojnie, lecz jego spojrzenie zdradzało wszystko... Niestety, ale należę do osób, które nie wiedzą, jak się w tego rodzaju sytuacjach zachować. Myślę, że w przyszłości narobię sobie przez to wiele kłopotów. I tak, zamiast powiedzieć: „Mój Boże!”, czy nawet: „To niemożliwe!”, spytałem (praca dziennikarza zrobiła swoje):

– Jak?

Oczywiście, zaraz zdałem sobie sprawę z mojego nietaktu. Chciałem szybko powiedzieć „Tak mi przykro”, ale Wiktor ponownie mnie uprzedził:

– Zastrzelona.

Ogarnął mnie ten dziwny chłód, który pojawia się tylko w niespodziewanych sytuacjach. Milczałem. Nie spodziewałem się, że usłyszę takie wyjaśnienie. Fakt; w ostatnich latach coraz częściej można było usłyszeć o morderstwach na ulicach. Coś, co kiedyś było wręcz niemożliwe, stało się faktem, co gorsza, czymś (jeśli da się to tak w ogóle ująć) normalnym. Nawet w tak małym mieście jak nasze. Robiło się coraz bardziej niebezpiecznie, niestety. Zaczęło się to już wcześniej. Pamiętam, już w szkole niespecjalnie przepadałem

za samotnymi powrotami autobusem po zmroku. Zawsze istniała spora szansa na bliskie spotkania z jakimiś dresiarzami. Czasami zastanawiam się, jak ja to zrobiłem, że nikt z nich mnie nie zaatakował. Choć bez... „rozmów” (mniej lub bardziej spokojnych) się nie obyło.

Ale... ktoś kogo znałem, ktoś z kim spisywałem prace domowe i śmiałem się z jakichś dowcipów. To niemożliwe!... podczas jednej z wigilii klasowych przebrałem się za Mikołaja, a ona towarzyszyła mi jako elfka. Mieliśmy wtedy niezły ubaw. Rozdawaliśmy jedne z tych małych, bardzo tanich cukierków i nic poza tym, a i tak każdemu się podobało...

Ujrzałem przed sobą jej twarz. Emma (cóż za rzadkie, a przy tym piękne imię) chodziła z nami, to jest ze mną i z Wiktorem, do tej samej klasy w gimnazjum. Później, wszyscy troje (znajomi z klasy i tyle), a może jeszcze dwie czy trzy osoby, poszliśmy do tego samego liceum. Każdy do innej klasy. Ja do humanistycznej, Wiktor do biologicznej, a Emma do językowej. Nasza znajomość ograniczyła się (przynajmniej z mojej strony) do mówienia „cześć” na korytarzu i wymiany pytań na jakies tam sprawdziany, jeśli mieliśmy tych samych nauczycieli z danego przedmiotu.

Emma była... specyficzna. Chociaż może nie tyle specyficzna, co raczej zagubiona. Starsi mówili w takich sytuacjach, że ktoś wpadł w złe towarzystwo i w tym przypadku mieli słuszność. Pamiętam, że w pierwszej klasie była jedną z lepszych uczennic; może nie w szkole, ale w klasie – a to przecież zawsze coś. Dopiero potem, w drugiej klasie, zaczęło się coś dziać. Diametralnie się zmieniała. Owszem, nadal była inteligentna (tego raczej nie da się oduczyć), ale zaczęła zadawać się z idiotami i zdaje się, że miała nawet problemy z przejściem do wyższej klasy. Do liceum, jak przynajmniej mówiono, dostała się „po znajomości”. Potem było jeszcze gorzej. Nie miałem z nią już takiego kontaktu, ale swoje usłyszałem, poza tym od czegoś miałem (i mam) oczy. Zadawała się z najgorszymi szujami, głównie z tych tzw. bogatych rodzin. Poza tym, co mnie samego najbardziej w owym czasie przeraziło – stała się (mówiąc bez ogródek) niewyobrażalnie „głupiutka”. Wiadomo; owa inteligencja w pewnym sensie ostała, ale potrafiła się zachowywać również niesłychanie prymitywnie (ze względu na pamięć o niej, pozwolę sobie przemilczeć to zachowanie). Potem, tuż po maturze, straciłem z nią kontakt i nawet o niej nie myślałem.

Aż do teraz.

Nie wiem, przez ile czasu tak milczałem. W każdym razie powiedziałem, że bardzo mi przykro (no bo cóż innego miałem niby odrzec?).

– Umarła przy mnie – powiedział po cichu, chyba nawet do siebie.

– Słucham? – z początku to do mnie nie dotarło.

– Nie rozumiesz? Umarła na stole operacyjnym. Nie miałem z nią po maturze żadnego kontaktu! Przez tyle lat! – podniósł głos. – Żadnego!

Zakrył twarz rękoma, a mnie wtedy olśniło. Czasami działam z opóźnieniem.

– Czy ty – odezwałem się ostrożnie – byłeś w niej zakochany?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Nie – szepnął – oczywiście, że nie. – Byłem nią po prostu zafascynowany.

Chyba każdego zaskoczyłaby ta odpowiedź. Po raz kolejny, w ciągu zaledwie kilku minut, nie wiedziałem jak zareagować.

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem...

– Chcesz..., to znaczy..., czy mogę ci coś opowiedzieć? Nie mogę już dłużej milczeć..., trzymać tego w sobie. Cholera jasna, nie mogę, bo zaraz zgłupieję – jego oczy rozbłysły. – Od tyłu dni myślę o tym wszystkim każdej nocy; o tym co się wydarzyło... Człowieku, Jacek! Gdybyś ty ją wtedy widział...

Zrozumiałem, że on przeżywa, z sobie tylko znanego powodu, wielką tragedię związaną z jej śmiercią. Mnie też było przykro. To normalne, gdy umiera ktoś, kogo znamy choć trochę (w dodatku w tak niecodziennych, znanych wcześniej głównie z seriali czy dzienników okolicznościach). Ale tylko tyle – nie byliśmy w końcu nikim bliskim dla siebie.

– Jeżeli ma ci to w jakiś sposób pomóc, to śmiało – odpowiedziałem. Poza tym, nie ma co ukrywać, zaintrygował mnie swoją postawą. To była (owszem, to brutalne w takiej

sytuacji, ale nie ulegające wątpliwości) jedynie jedna z wielu znajomych z dawnej klasy i nikt więcej.

– Dziękuję – ton jego głosu wskazywał na ulgę. – Bardzo dziękuję.

Kiwnąłem głową, wypilem łyk herbaty i czekałem. W pobliżu ludzie byli zajęci swoimi sprawami. Każdy o czymś teraz mówił lub słuchał. W to mroźne i ciemne listopadowe popołudnie tworzyło to jakiś niecodzienny klimat. Przy stoliku obok (który w międzyczasie się zwolnił) zgasła lampka. Z jednej strony padał na nas mrok.

Wiktor odetchnął, spojrział mi prosto w oczy i zaczął opowiadać swoją, a raczej ich historię.

Nie jestem pewien czy dobrze ci to wszystko wytłumaczę. Chciałbym, ale najprawdopodobniej mi się nie uda. Chodzi o to, że słowa na pewno umniejszą moje odczucia i myśli związane z tymi wydarzeniami. Niektórzy twierdzą, że wszystko da się opisać czy wypowiedzieć używając właściwych słów, konstrukcji zdań... Ale ja w to zwyczajnie nie wierzę. Nie da się. Pewne emocje są przeznaczone dla pewnych osób, osób, które w „czymś” uczestniczyły. I nie ma w tym nic niezwykłego. Ja z pewnością bym nie potrafił się wzruszyć, gdybyś mi zaczął ni z tego, ni z owego opowiadać o narodzinach twojego dziecka czy coś podobnego. I, szczerze mówiąc, nie oczekuję tego od ciebie. Chcę... chcę jedynie wypowiedzieć to wszystko na głos, bo już nie wytrzymuję. Zmarła kilkanaście dni temu, lecz ja wciąż przeżywam tamtą noc.

Pewnie myślisz, że poznałem ją dopiero w gimnazjum? Też tak myślałem; dopiero w kilka lat po maturze, w którąś noc podczas wkuwania do sesji zimowej, zdałem sobie sprawę, że znałem ją już wcześniej. A mianowicie – chodziliśmy razem do przedszkola!

Pamiętasz coś z tego okresu, kiedy miałaś pięć czy sześć lat? Zapewne niewiele. Ja również. Jednak są pewne wydarzenia, jakieś pojedyncze obrazy, które od czasu do czasu do ciebie wracają. Tak samo było i w tym wypadku. Zauważyłeś, że im jesteś starszy, tym częściej przypominają ci się rzeczy sprzed lat? Wiem, że nie brzmi to wiarygodnie w ustach faceta, który ledwo co przekroczył trzydziestkę, lecz tak jest. Sam zapewne możesz to potwierdzić. Rozumiesz – drobny szczegół, twarz, głos czy zapach nagle staje się wyraźniejszy. Może i minimalnie, ale...

I tak było w tym przypadku. W przedszkolu, do którego chodziłem z Emmą, panowała mania na karteczki. Może kojarzysz? Wiesz, takie wkładki do segregatorów z różnymi kolorowymi rysunkami, najczęściej z komiksów i kreskówek lecących rano w weekendy w telewizji. Potrafiliśmy całą grupą przesiadywać godzinami przy maleńkich stolikach i się nimi wymieniać. Było to na tyle wspaniałe zajęcie, że nawet w letnie miesiące ciężko było nas wyciągnąć na dwór. Woleliśmy prowadzić nasz mały handel wymienny. Pamiętam, jak w jeden z tych ciepłych dni targowałem się z kimś o karteczkę z fotografią samochodu terenowego; mam ją do dzisiaj.

A jeśli chodzi o Emmę... Chociaż wprawdzie cię zastanawia, skąd mam pewność, że była to ona? Odpowiedź cię raczej nie zadowoli, ale mnie wystarcza. Intuicja. Tak, intuicja. Mam pewność, że to ona. Osoby wierzące w Boga nigdy Go nie widziały, a mimo to ufają, że istnieje. Podobnie i tutaj – jestem absolutnie przekonany, że chodziłem z Emmą do przedszkola. Te oczy! Jacek, czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie ona miała oczy?!

Pamiętam także uczucie towarzyszące temu wydarzeniu... Ale zaraz... Był to chłodniejszy miesiąc. Październik, a może, tak jak teraz, listopad. Miałem na sobie jeden z tych swetrów, które zdominowały drugą połowę lat dziewięćdziesiątych – w pionowe, dwukolorowe paski. Wymieniałem się z kimś karteczkami na dywanie, gdzie się bawiliśmy. W pewnym momencie wstałem (tutaj wspomnienie jest, jakby ci to powiedzieć – „nieco zamazane”) i podszedłem do stolika, przy którym siedziała z dwiema innymi dziewczynkami. Miała na sobie biały golf i białe spodnie. Tak, ten styl ubierania też był charakterystyczny dla naszego dzieciństwa. Wiem, że się denerwowałem. A to dlatego, że w tym stroju i dlatego, że była w dodatku blondynką przypominająca mi jednego z tych aniołów z książeczek

dla małych dzieci. Teraz, gdy o tym myślę, mam wrażenie, że był to sen. Podchodziłem jak zahipnotyzowany – wolno, cały czas wpatrzony w te niebieskie, fascynujące oczy. Pamiętam dokładnie; jakby to było wczoraj. Spytałem (nie pamiętam dokładnych słów), czy możemy się powymieniać. Uśmiechnęła się i odpowiedziała, że tak. Ostatni fragment tego wspomnienia to właśnie jej spojrzenie. Czyste – jedynie takie słowo przychodzi mi na myśl. Widać w nim było, jakkolwiek zabrzmiało to błaho, dobroć. Nie chodzi mi, iż odznaczała się miłym wyrazem twarzy, nie, w żadnym razie. Po prostu spojrzenie kogoś nieskazitelnie czystego.

Później poszliśmy do różnych podstawówek. Na pewno do innych, gdyż z pewnością bym ją potem, w gimnazjum, od razu skojarzył. Pewnego rodzaju paradoksem jest, że i tak okazała się pierwszą osobą w naszej klasie, na którą zwróciłem uwagę. Imię. To specyficzne imię. Zapewne każdy z nas sprawdzając w wakacje listę ludzi, z którymi miał chodzić przez następne trzy lata, zatrzymał się przy nim na dłużej. Myślę, że jako dzieci nie zwracaliśmy na takie sprawy, jak osobliwe imię, uwagi. Nie zajmowało to nas; ktoś nazywał się „jakoś” i to wystarczało. Przyjmowaliśmy ten fakt bez dyskusji. Inaczej rzecz miała się w okresie dorastania – co, jako lekarz, mogę powiedzieć, że jest naturalne.

Mimo że po ukończeniu przedszkola nigdy potem się nie spotkaliśmy, to od razu zapragnąłem się z nią zaprzyjaźnić. Imię! Kto mógł się tak nazywać... Podczas pierwszego sprawdzania listy obecności tylko czekałem aż wychowawczyni je przeczyta, bym mógł ją wreszcie zobaczyć. No i zobaczyłem.

Na początku zapytałeś, czy byłem w niej zakochany. Nie byłem do końca szczerzy, chociaż jednocześnie daleko mi było do kłamstwa. Jeżeli już miałem się w niej zakochać, to właśnie w tamten wrześnieowy poranek. Nigdy później. Przez cały dzień myślałem o Emmie i z niecierpliwością czekałem na następny dzień. Tak, chodzi mi o oczy...

Kolejnego dnia, jak sprawdziłem niedawno w kalendarzu, w środę, pierwsze co zrobiłem rano, to podszedłem do niej. Nie byłem zestresowany, tak jak sześć lat wcześniej. Wiek gimnazjalny to naprawdę dziwny okres. Zamieniliśmy ze sobą parę, całkiem miłych zresztą, słów i... przeszło mi. Wiem, popełniłem wtedy straszliwy błąd, ale przegrałem z bardzo silnym przeciwnikiem, bo z naturą. Zaspokoilem pewnego rodzaju potrzebę – potrzebę poznania Emmy. Nie brzmi to dobrze, prawda? Wręcz brutalnie. Ale tak też się stało. Czasem myślę, a po jej śmierci niemal nieustannie, że gdybym może zamienił dwa zdania więcej albo usiadł z nią po tej rozmowie w ławce, wszystko potoczyłoby się inaczej... I teraz by żyła...

Owszem, nadal mnie później fascynowała, lecz nie poczyniłem, jak to się mówi?, żadnych kroków naprzód, by zwykła znajomość zmieniła się w piękną przyjaźń. Swoją drogą, wiesz, czym mnie tak zafascynowała? Swoim „czuciem”, umiejętnością odczuwania pewnych wydarzeń w piękny, poetycki sposób. Mnie przyszłego lekarza; nie humanistę! Brzmi to nieco zagmatwanie, prawda? Dam ci dla zobrazowania jeden przykład, wydarzenie, które miało miejsce podczas jednego z wuefów na dworze, zdaje się, że pod koniec października.

Pewnie już nie pamiętasz, ale, kiedy ktoś nie miał stroju czy był na zwolnieniu lekarskim, musiał chodzić wokół boiska po rozciągającej się wzdłuż niego bieżni. Tamtego dnia nie ćwiczyło kilka osób; może nawet ty? Nie pamiętam kto dokładnie, w każdym razie na pewno ja z Emmą. Rozmowa między nami wszystkimi przebiegała dość swobodnie. Minął ten okres niepewności, gdy prawie nikt się nie zna i za bardzo nie ma się ochoty zagadać do drugiej osoby.

Oczywiście, najbardziej interesowało mnie to, co mówi Emma. A odzywała się niewiele. Wiadomo, śmiała się wraz z całą resztą, czasami rzuciła jakiś tekst, by podtrzymać rozmowę, ale czułem, że chodziło o coś innego. A tak przy okazji: zauważyłeś ile już razy w naszej rozmowie użyłem słowa „czucie”? Czasem mam wrażenie, że nasza znajomość opierała się wyłącznie na emocjach i niczym więcej...

Wracając do meritum sprawy. Po jakimś czasie, gdy cisza przedłużała się niepokojąco, Emma poczyniła uwagę, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że była inna, lepsza od nas wszystkich. „Spójrzcie na przyrodę; widzicie jak to niesamowicie wszystko wygląda?” – tak dokładnie powiedziała. Rozejrzałem się i nie zobaczyłem nic. Tak jak i inni. Na moje

szczęście, ktoś mniej rozgarnięty spytał: „I niby co takiego mamy zobaczyć?”. Teraz doskonale rozumiem, że dla niej to pytanie było wtedy szczytem idiotyzmu (Jak ona mogła stanąć rok później po drugiej stronie barykady?!). Do dzisiaj dziwię się, że nie zbesztła tej osoby, tylko spokojnie odpowiedziała: „No, patrz. Chmury przysłoniły nieco słońce, tak, że wszystko przybrało z lekka... pomarańczowy odcień. Wokół nas spadają kolorowe liście. Same drzewa, teraz różnobarwne, szumią kojąco. My natomiast, wśród tego wszystkiego, idziemy jakby nic i, ot tak, rozmawiamy o głupotkach. Powinien ktoś zrobić nam teraz zdjęcie z daleka, a w tle jeszcze to boisko z ćwiczącymi... Super by to wyglądało”. Kilka osób popatrzyło na nią z dziwnym wyrazem twarzy (dobrze, że się chociaż nie roześmiali), lecz ja próbowałem zrozumieć, co też miała na myśli. I chyba zrozumiałem. Chodziło jej, przynajmniej tak mi się wydaje, o niesamowity, typowy dla wczesnej jesieni, klimat. Było stosunkowo ciepło i można było odnieść wrażenie, że jest koniec lata. Do tego ta beztroska, ten spokój, jakaś taka, używając jej słowa, „kojąca” atmosfera. Tak – atmosfera. Cholera; ciężko to opowiedzieć, a pewnie jeszcze ciężiej opisać – mam jednak nadzieję, że mnie rozumiesz. Bo to bardzo ważne. Myślę, że w pewnym sensie tamten dzień nauczył mnie inaczej odczuwać pewne sprawy. Tym straszniejsze jest, iż później całą sobą, swym jestestwem, wyparła się tego. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak to możliwe...

I tak mijały kolejne miesiące. W końcu każde z nas znalazło się w jednej z mniejszych grup, które tworzą się w każdej klasie i tak to się dalej stało: nasze drogi, choć podobne, stopniowo się rozgałęziały. Żałuję, szczerze żałuję, że byłem bierny i poszedłem na łatwiznę, tj. zaprzyjaźniłem się z ludźmi „typowymi”. Emma stanowiła wyzwanie, któremu nie sprostalem. Nie chciałem sprostać. Czemu wtedy w ogóle zrezygnowałem z możliwości poznania kogoś takiego; zgłębienia tajników tak niecodziennej duszy? Nie wiem i, szczerze powiedziawszy, boję się wiedzieć. A to dlatego, że wyjaśnienie może się okazać bardzo trywialne. Wiesz, byliśmy wtedy dziećmi. Przecież to wtedy wchodziły wszelkiego rodzaju komórki z grammi, Internet stopniowo stawał się dostępny dla każdego... I ja, ja!, jak większość, poszedłem w tamtą stronę. A kiedy już, że tak powiem, „ochłonąłem”, przyzwyczałem się do tego, Emma od dawna siedziała w piekle. Tak, to mogła być przyczyna. Okropne, prawda? I to tak niesłychanie prymitywne. Byłem dzieckiem? Nie, wiek w tym przypadku nie powinien stanowić usprawiedliwienia.

A potem przyszły wakacje... Najprawdopodobniej sam nie zwróciłeś na to uwagi, lecz to właśnie po nich się zmieniła. Nie wiem, co wtedy do końca zaszło, przecież nie należałem do paczki jej przyjaciół, ale sam wiesz, iż wniosek może być jeden: wpadła w złe towarzystwo. Śmieszne, co? – stoczyła się przez, uwaga, „złe towarzystwo”. Tekst jak z jakiegoś nic niewartego programu publicystycznego przygotowanego przez nie znających realiów emerytów. Mnie też tak się wydawało przez lata, że jest to śmieszne. Bo widzisz, ja od początku zdawałem sobie sprawę, właściwie byłem pewien, że mogli zniszczyć ją tylko inni... Ale teraz, kiedy byłem i umierałem wraz z nią, przekonałem się, że to prawda. Użyłem słowa „zniszczyli”. Tak, mocny wyraz w każdym calu, lecz czyż nie oddaje najbardziej tego, co się później z nią działo? Emma została zniszczona przez innych. Nie mieści mi się w głowie, by sama dopuściła do tego... co się stało.

Mój Boże, nie mam pojęcia, jakim cudem ktoś taki jak ona dał się mimo wszystko skusić. Skusić złu lub, jak ja to nazywam, ciemności. Wciąż zadaję sobie to pytanie i nie znajduję odpowiedzi. Z drugiej strony nie ma w tym właściwie nic nadzwyczajnego. Kiedy poszliśmy do liceum, widziałem wiele osób, które przeszły podobną drogę. Na początku, tj. zanim weszli w ciemność, byli..., no, z braku lepszego słowa, zwykli. A potem... koniec. Nie mam na myśli takich pierdół jak spisywanie prac domowych czy uciekanie z lekcji. Nie, w życiu. Emma została zniszczona w inny, bardziej okropny, sposób – stała się złą, przede wszystkim straszliwie pusta i odarta z wyższych uczuć, które wcześniej stanowiły o jej wyjątkowości. To właśnie najbardziej mnie w tym wszystkim przeraziło. Ktoś, kto był bardzo wrażliwy, mający zdolność empatii, zupełnie zatracił te umiejętności. Pamiętasz jak w ostatnim roku z tymi idiotami, z tą cholerną grupą (ciemnością...) stała i śmiała się z nas, jak się czegoś tam

uczyliśmy? Jak wytykała nasze fizyczne wady czy zwykłe wpadki, które mogą zdarzyć się każdemu? Ja patrzyłem cały czas w jej oczy. Nie było już w nich dawnego blasku, było coś innego. To trudne do opisanie. Pustka? Może...

Nienawidzę ich. Nienawidzę tych wszystkich, co przyczynili się do jej moralnego upadku. Po tamtej nocy w szpitalu, tuż po jej śmierci, miałem szczerą ochotę ich wszystkich pozabijać. Tak po prostu. Zupełnie obojętne były mi konsekwencje. Zrobili jej coś strasznego, stała się efektem tego całego zła; efektem ciemności. A nie zasłużyła sobie na to. Ja, i ty też, znaleźliśmy ją przed... przemianą. Potrafiłbyś ją sobie wyobrazić wcześniej wśród tego szmacianego towarzystwa? Pewnie, że nie! Co też oni jej najlepszego zrobili?! Żeby ich wszystkich szlag trafił!

Nie znajduję innego wyjaśnienia. Poza tym jest tyle przesłanek, które mówią, by uważać na innych; na ciemność. Zaczynając od Biblii i fałszywych proroków (dzisiaj jest ich zatrwająco dużo) czy kończąc na „Gwiezdnym wojnach”. W tych ostatnich była taka scena, gdy Obi-Wan wyraźnie powiedział do Luke’a: „Będzie cię kusić Ciemna strona Mocy”. Identyczna sytuacja! Tylko że on wytrzymał ten napór, a Emma nie. Mówię ci, ktoś, kto był wcześniej „porządny”, zmienia się pod wpływem wydarzeń, które prowokują te sukinsyny. Ludzie dobrzy moralnie zostają wessani przez ciemność i są jej skutkiem; efektem. Wiesz, co my najlepszego przy tym zrobiliśmy?! Czy ty, jako myślący osobnik, zdajesz sobie z tego sprawę? Pozwoliliśmy sobie na libertyńską wolność. Wolność bez ograniczeń. Cała, cholerna rewolucja francuska pokazała, czym to grozi, a my wszyscy daliśmy się w to tak głupio wrobić. W głowie się nie mieści! Zauważ: religia zakłada jakieś ograniczenia. W takim razie rzućmy hasło: nie ma Boga! – można wszystko. I poszliśmy na to. A książki? Książki każą zastanowić się nad pewnymi kwestiami, pokazują pewne postawy, pewne rozterki, w tym te moralne, i ich właściwe rozwiązanie (a przynajmniej mogą pomóc w odnalezieniu ich). No to powiedzmy, że czytanie jest przeżytkiem i dla zakompleksionych okularników. Czytasz? No to jesteś dziwny! Nie – o, tak, wtedy dopiero jesteś normalny. Dzieciak, który ma się urodzić, będzie niepełnosprawny. W takim razie na co czekasz? – aborcja. Aborcja! Zabójstwo, nie aborcja. Pod jednym słówkiem kryje się drugie – morderstwo. Patrz: skoro nie jesteśmy w stanie cierpieć czy też poświęcać się dla własnych dzieci, to czy możemy zrezygnować z czegoś dla drugiego człowieka? Oczywiście, że nie. Jesteśmy pokoleniem, ba!, już nie tyle pokoleniem, co całą społecznością zapatrzonych w siebie egoistów. Nie ma co ukrywać: my, ludzie XXI wieku spieprzyliśmy sprawę na całej linii. Cały dorobek minionych epok poszedł w zapomnienie. Liczy się tylko to, co teraz i własne szczęście. Nic więcej.

Kolejna dygresja z mojej strony, co? Przepraszam, ale może w pewnym stopniu podkreśli to, dlaczego tak bardzo nie mogę znieść tego, co się wydarzyło. Jacek – ona nie była zła, jestem tego absolutnie pewien. Jak mówiłem: z niej samej by coś takiego zwyczajnie nie wyszło. Najdobitniej przekonałem się o tym pod koniec liceum. No tak – liceum. Nie sądziłem, że to się uda, że ponownie spotkamy się w tej samej szkole. Może już nie w klasie, ale nadal mieliśmy przebywać w tym samym budynku. A to zawsze coś. Myślałem, że po tych trzech latach (nie dosłownie) rozstaniemy się i znikniemy sobie z oczu. Lecz tak się nie stało. Dlaczego? Nie wiem. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, jest w zasadzie nie do przyjęcia; zbyt nieprawdopodobne. Wyjaśnienie to przyszło mi do głowy właśnie pod koniec liceum. Myślę... myślę, że los czy jak wolisz: Wielki Facet z góry chciał, abym ja jej zwyczajnie pomógł. Ja, gdyż jak nikt inny czułem, że wciąż można wszystko zmienić, naprawić, doprowadzić do dawnego stanu...

Utwierdziło mnie w tym przekonaniu spotkanie z Emmą, które miało miejsce pod koniec kwietnia, tuż przed maturą, na przystanku autobusowym. Przez wcześniejsze dwa i pół roku mówiliśmy sobie jedynie zwykłe „cześć” i ewentualnie wymienialiśmy się pytaniami na klasówki. Tak jak ja z tobą; na pewno pamiętasz. Każdy tak robi. Dobrze chociaż to, że w ogóle się na tych korytarzach poznawaliśmy – nie przeczyliśmy, że się znamy. Kto wie, czy nie był to kolejny znak, by pomóc Emmie?

A w międzyczasie staczała się coraz bardziej. Wchłaniała ją ciemność. Boże, gdy widziałem ją, jak przesiadywała z tymi brudasami, jak sama stawiała się ludzkim syfem! Nic się dla niej nie liczyło. Poza zabawą. Bawić się i nic więcej. Straciła umiejętność empatii. Wiesz, czasami, niby przypadkiem, kiedy... o właśnie – kolejna sprawa. Wiedziała przecież, że mamy tych samych nauczycieli i spokojnie może mieć ode mnie pytania na niektóre klasówki. Nic z tego. Dochodziło do tak kuriozalnych sytuacji, że sam do niej podchodziłem, i tylko, by nawiązać rozmowę, dawałem jakieś tam, często zmyślone, pytania. Ba, pytałem się, co było na sprawdzianie, który sam dawno napisałem! Wiem, błądziłem się tym samym. Ale naprawdę, chciałem jej pomóc. I o nic więcej mi nie chodziło. Cały czas wierzyłem, że się, czy ja wiem?, „nawróci”, wróci do nas. I tak, podczas naszych krótkich rozmów (a raczej moich monologów) nawiązywałem do różnych spraw. Jakichś książek, filmów, piosenek – czegokolwiek, co mogłoby nią choć trochę wstrząsnąć. Cytowałem myśli Reagana, Mickiewicza czy kogo się tam jeszcze dało. No i tak, jak kilka lat wcześniej my na nią, tak ona teraz patrzyła się na mnie jak na wariata, jak na jakieś dziwadło... Chciała, żebym się odczepił. Nic nie było w stanie nią wstrząsnąć. Nic! Została wyprana z wszelkich odczuć. Tylko pustka – w tych niezwykłych, niegdyś potrafiących zobaczyć więcej oczach, panowała pustka. W pewnym momencie zacząłem nawet odnosić wrażenie, że ją trzeba po prostu z całej siły walnąć. Podejść, rąbnąć pięścią i powiedzieć ze złością: „Wiesz, kto jak kto, ale ty dawno powinnaś się już obudzić”. Wielki Boże; może to faktycznie był jedyny sposób?

Powoli zaczynałem tracić nadzieję. Przez mur, jaki wytworzyła wokół niej ciemność, nic nie było w stanie się przedostać. Szczerze powiedziawszy, to nawet udało mi się odpuścić – przestałem ją, co pewnie tak się według niej przedstawiało, zaczepiać. Jednak los po raz kolejny zetknął nas ze sobą.

Któregoś dnia nie miałem kilku ostatnich lekcji. Dwóch czy nawet trzech. Czasami nawet ja mam szczęście. Tak czy siak skończyłem przed dwunastą i nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem na przystanek, by wrócić do domu i zrobić jedną z ostatnich powtórek przed maturą z biologii. Dobrze pamiętam, że było wtedy dosyć zimno; nie miałem kurtki i rękawiczek i zanim dotarłem na przystanek, porządnie zmarzłem. W dodatku chmury zasłoniły słońce i zbierało się na deszcz. Bardziej przypominało to listopad niż kwiecień.

Na przystanku nie było nikogo poza nią i jakimiś dwiema plotkującymi staruszkami. Cóż, taka godzina. Stała w jednym z rogów przystanku, chcąc zasłonić się przed wiatrem. Miała na sobie, jakżeby inaczej, słuchawki. Nie lubię tego. Od lat, gdzie nie wejdę, to większość albo pyka w telefoniku, albo słucha z mętym wzrokiem jakiegoś szajsu. Na jej widok nic nie poczułem. Obojętność. Jak wspomniałem, od paru miesięcy, czy tam tygodni, uznawałem ją za niereformowalną. Z początku nie miałem zamiaru nawet do niej podejść. Chciałem stanąć nieco dalej, bądź pójść nawet na inny przystanek (a w liceum nie jeździliśmy tym samym autobusem). Ale tak, jak ponad dekadę wcześniej w przedszkolu, „coś” mnie tknęło i podszedłem. Nie wiedziałem, co mówić – mruknąłem „cześć” (kiwnęła głową) i zostałem obok niej. Po chwili przyjechał jeden z tych autobusów, które odwożą ludzi do okolicznych miasteczek i wsi i staruszki sobie poszły. Zaproponowałem, byśmy usiedli. Nie żeby mi na tym szczególnie zależało. Po prostu chciałem coś powiedzieć; cokolwiek. Nie usłyszała tego. Musiała zdjąć słuchawki, a ja powtórzyć propozycję. Ponownie odpowiedziała gestem. Usiedliśmy i milczeliśmy. Jedyny plus to to, że w końcu nie słyszałem tego brzdąkania wpływającego z tych słuchaweczek. Wyłączyła odtwarzacz. Nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy nie siedziałem obok niej. Może w przedszkolu, może na jakimś apelu w gimnazjum, lecz nigdy tak... no, wiesz, o co mi chodzi.

Trochę to głupie, bo w pewnym momencie zauważyłem, że drżą mi nogi; bynajmniej nie z zimna. Po raz kolejny intuicja stała po mojej stronie. Wiedziałem, naprawdę wiedziałem, że to moja ostatnia szansa, by jej pomóc. Musiałem zagrać *va bank*, nie było już czasu na nic innego. Moje myśli pędziły jak oszalałe. Szukałem w głowie czegokolwiek: jakiegoś cytatu, jakiegoś metaforycznego przesłania... Nic z tego. Zawiodłem ją jeszcze raz.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Trwaliśmy w niczym niezmaconym milczeniu. Szczerze powiedziawszy, to nawet nie potrafiłem na nią spojrzeć.

Po jakimś czasie usłyszałem zbliżający się autobus. Jej numer. Wstała, gdy już hamował, rzuciła mi cześć (tak na odczepne) i wtedy, jedyne co byłem w stanie zrobić, to zapytać:

– Emma; czy wszystko w porządku?

Myszę, że gdybym nie zwrócił się do niej wtedy po imieniu, to by się nie odwróciła. W moim pytaniu można było wyczuć głęboki niepokój. Jestem o tym przekonany. Spojrzała na mnie. Jednak już nie tym pustym wzrokiem, a zupełnie inaczej. Było w nim błaganie i jednocześnie jakiś taki trudny do wyrażenia ból. Cierpiała, naprawdę cierpiała całą sobą. Trwało to może kilka sekund, ale ja mam wrażenie, że patrzyliśmy na siebie znacznie dłużej. Chciałem wstać, pójść za nią, pojechać tym autobusem i porozmawiać. Chyba to zauważyła, bo uśmiechnęła się (jak dawno tego nie zrobiła w stosunku do mnie) i odparła:

– Tak, pewnie.

...

Przepraszam, zamyśliłem się.

Była to nasza ostatnia taka... rozmowa. W następnych dniach widywałem ją w szkole bardzo rzadko. Czasami „mignęła” mi gdzieś z daleka i nic więcej. Pisaliśmy w tej samej sali maturę z polskiego, lecz nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Kiedy ja nerwowo kończyłem ostatnie zdania, ona już dawno wyszła. Nie udało mi się też dostrzec Emmy na rozdaniu świadectw. Później przyszły studia i każdy poszedł w swoją stronę. Co najdziwniejsze; nie wchodziła nawet na te cholerne portale społecznościowe. Zniknęła. Nie miałem o niej żadnych informacji, a nikogo nie śmiałem pytać. Bałem się tego, co mogę usłyszeć. Wiem; postąpiłem jak ostatni tchórz i tego, choć bardzo bym chciał, nie cofnę. Niedawno udało mi się dowiedzieć, że zaraz po ukończeniu szkoły wyjechała na cztery lata do Wielkiej Brytanii. Nie wiem, co tam robiła.

Nieco ponad trzy tygodnie temu, podczas nocnego dyżuru, dostaliśmy wiadomość, że wiozą do nas dwie ofiary jakiejś strzelaniny na jednej z tych ulic, po których lepiej samemu nie chodzić po zmroku. Mieliśmy dość czasu, by przygotować sale operacyjne na ich przyjęcie. Wiedzieliśmy, że poszkodowani to mężczyzna i kobieta, w tym ta ostatnia (Emma...) jest w stanie krytycznym. W końcu postrzały w brzuch są najgorsze. Miałem operować razem z doktorem... a zresztą: nazwisko i tak nic ci nie powie. W każdym razie z doświadczonym lekarzem, który był w Afganistanie, w Iraku i swoje w życiu widział. Trochę się stresowałem, ale chyba nic w tym dziwnego – tutaj liczyła się głównie szybkość. Najpierw przyjechała karetka z mężczyzną. Pozwól, że wyrażę się kolokwialnie: nie należał do mnie, toteż ledwo na niego spojrzałem. Koncentrowałem się na swoim pacjencie. Druga karetka pojawiła się w przeciągu kilkunastu sekund. Sanitariusze szybko wyskoczyli z ambulansu i jeden z nich natychmiast zaczął opisywać stan w jakim znajdowała się... Emma. Poza postrzałem w brzuch, dostała też w lewe ramię. Istniało również prawdopodobieństwo... – wierzyć się nie chce... – Istniała również możliwość, że jest na haju.

Z początku jej nie poznałem. Nie dość, że wokół niej wiły się wszędzie rurki, założony kołnierz ortopedyczny oplatał szyję, to jeszcze miała pokrwawioną twarz. Tak – wystarczył pierwszy rzut oka, by wiedzieć, że została brutalnie pobita. Mój kolega zaczął wydawać standardowe polecenia, gdy wtedy spojrzałem na jej oczy.

Trudno mi opisywać stan, w jakim się wtedy znalazłem. Nastąpiło we mnie coś, co w literaturze nazywa się retardacją. Miałem wrażenie, że wszystko nagle zwolniło – jedziemy na salę operacyjną, lecz w jakimś innym, znacznie wolniejszym tempie. Zgiełk życia szpitalnego stał się odległy; usłyszałem jeszcze jak sanitariusz mówi: „Ciśnienie”, lecz nie wiedziałem już jakie. Co najdziwniejsze, cały czas byłem wszystkiego w pełni świadom. Nie musiałem zmuszać nóg, by szły naprzód – po prostu robiły swoje. Nikt nie dostrzegł we mnie jakiegokolwiek zmiany. Spotkaliśmy się po niemal piętnastu latach. Minęło tyle czasu, a my znów na siebie trafiliśmy. Doskonale wiedziałem, że jest na krawędzi. Nie chcę tu zgrywać jakiegoś bohatera, w którego rękach znalazł się los kogoś szczególnie

bliskiego. Nie. Tak się stało i tyle. Wierz lub nie, ale po początkowym wstrząsie, udało mi się odnaleźć spokój. Kilkuletnie doświadczenie bądź co bądź zrobiło swoje. Nieraz operowałem pacjentów, z którymi wcześniej się zaprzyjaźniłem. Niektórzy umierali, a z innymi za tydzień znowu grałem w szachy. Tak to już bywa. Może i praca ta ostudziła we mnie emocje, lecz wtedy potrzebny był także spokój. A tego mi właśnie nie zabrakło. Chociaż, z drugiej strony, mógłbyś spytać, co z tego, skoro nie przeżyła?

Często lekarze, gdy ktoś im umiera na stole, mówią później rodzinie: „zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy”. Brzmi to nieco kuriozalnie, ale jest to prawdą. Robi się naprawdę wszystko; walczy do końca. My tak zrobiliśmy. W następnych dniach nieraz zadawałem sobie pytanie: czy mogliśmy ją uratować? I, szczerze mówiąc, nie wiem. Może lekarzom z innego szpitala by się to udało? Może, gdyby przywieźli ich pięć minut wcześniej, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej? A może to tylko niepotrzebne zadręczanie. Ważna jest walka. A my nie złożyliśmy broni do samego końca.

Staralem się nie patrzeć na jej twarz. Obawiałem się, że jej widok może mnie wyprowadzić z równowagi. Robiłem to, co do mnie należało: starałem się zatamować krwawienie wewnętrzne w okolicach jelit i temu poświęcałem uwagę. Była to sytuacja ekstremalna, a, Bogu dzięki, w takich sytuacjach ludzki umysł zdolny jest do wysiłku, o którym wcześniej nawet nie śmiano by pomyśleć. Choć to nieprawdopodobne, to udało mi się zapomnieć, kto leży na stole.

Niestety, nic nie układało się po naszej myśli. Rany były niesłychanie rozległe. Odlamki podziurawiły ją od środka... Nie patrz tak na mnie. Jak już wspominałem, operowałem niejednym razem; wiem, że brzmi to brutalnie, ale ja już się z tym oswoiłem. Nawet do cierpienia można się przyzwyczaić. Stąd przecież bierze się szok pourazowy. Coś dawno się skończyło i dla człowieka, który w tym ileś czasu tkwił, wydaje się to tak niemożliwe, że w pewnym sensie mu tego „brakuje”. Wtedy wszelka normalność jest postrzegana jako coś nienormalnego.

Musieli trafić ją z kalibru 45 mm albo czegoś jeszcze większego. W pewnym momencie, gdy nie mogłem dotrzeć w jedno miejsce, trysnęła na mnie jej krew. Kolega zaklął, a zaraz potem zrobiło się jeszcze gorzej. Pielęgniarka, obserwująca monitor, powiedziała słowo, które wbrew swemu łagodnemu brzmieniu (przynajmniej mnie tak się wydaje), oznacza z reguły ostatnią fazę konfrontacji życia ze śmiercią:

– Migotanie!

Sekundę później elektrokardiogram rozpoczął swój, zwiastujący śmierć, koncert.

Przestałem nad sobą panować. Mimo że byłem młodszym z operujących, to ja poprosiłem o defibrylator. Powiedziałem to natychmiast; kolega nie zdążył zareagować.

– 120! – krzyknąłem.

Nie stało się nic. Ciało „podskoczyło”, ale rytm nie powrócił.

Nie traciłem nadziei; nie zamierzałem się poddać.

– 200!

I to nie przyniosło rezultatów.

Kolega chciał coś powiedzieć, pewnie, że to już koniec, rany od początku wskazywały, że nic z tego nie będzie, i że bym sobie odpuścił, ale nie dopuściłem go do głosu.

– Jeszcze raz 200!

Ciało podskoczyło, a elektrokardiogram grał swoje. Myślę, że w duchu zdawałem sobie sprawę, że nie ma to w zasadzie najmniejszego sensu. Inna sprawa, że co innego jest o tym mówić z perspektywy czasu, a co innego być tam na sali operacyjnej. Atmosfera. Tam, w tym miejscu, gdzie nieraz ludzki organizm zdobywał się na tytaniczną pracę.

Nie w tym przypadku.

– 360 – z tego, co pamiętam, podczas wypowiedzania tej liczby, nie krzyknąłem.

Dźwięk defibrylatora, przyłożenie, podskok ciała i nic więcej. Popatrzyłem na twarz Emmy. Włosy, mokre od potu pokrywała krew. Na czole liczne, mniejsze lub większe, zadrapania. Prawe oko podbite, nos wykrzywiony. Najbardziej w pamięci utkwił mi jednak

brak dwóch przednich zębów. Wiesz, jak ludzie wyglądają bez zębów – okropnie. Wstydzę się tego, ale przeszedł mnie dreszcz obrzydzenia, który zaraz potem zastąpiła litość. Miała lekko rozchylone usta; wyglądała trochę jak dziecko, które dopiero, co zasnęło. „Idiotka” – pomyślałem, a kto wie, czy nie wyszeptalem.

Ostatnia deska ratunku, ostatnim aktem desperacji była oczywiście adrenalina.

– Adrenalina – powiedziałem opanowanym głosem, wyciągając wolną rękę.

Nie otrzymałem strzykawki.

Rozejrzałem się wokół. Wszyscy na mnie patrzyli.

– To koniec, Wiktorze – powiedział starszy lekarz. – Utraciła taką ilość krwi, że nie da rady. Koniec.

Siła mojego umysłu wzięła górę nad emocjami. Wiedziałem, że to prawda. Wyłączyłem elektrokardiogram: nie chciałem słuchać tego ciągłego: „tiiiitii” – sygnał najstraszniejszy pod słońcem.

Spojrzałem na zegar ścienny i powiedziałem:

– Czas zgonu: 23:22.

Zdjąłem maskę ochronną i poprosiłem innych o wyjście.

– Nie rozumiem – powiedział mój kolega.

– To moja dawna znajoma – odparłem krótko. – Chcę trochę z nią pobyc sam.

Nic nie odpowiedział.

Kiedy wyszedł wraz z pielęgniarkami i sanitariuszem, zgasilem część świateł tak, że wokół nas panował lekki mrok. Dlaczego? Po prostu lampy rzucały zbyt jasne światło na jej zwłoki. Odłączyłem część rurek, by twarz stała się nieco lepiej widoczna. Zakryłem ją od szyi w dół, a następnie mokrą szmatką starłem nieco krwi z czoła i policzków. Zamknąłem jej usta i odgarnąłem niesforny kosmyk włosów.

Wziąłem pobliskie krzesło i usiadłem po jej lewej stronie. Myślałem wtedy o przeszłości. Wszystkie te zdarzenia, które ci opowiedziałem przeleciały mi przed oczami. Szczerze powiedziawszy, to nawet nie czułem bólu. Wyłącznie okropny smutek. Tak bardzo żałowałem, że to wszystko skończyło się w ten sposób. I nadal żałuję...

Właściwie mógłbym tym zakończyć moją opowieść. Nie powiedziałem ci jeszcze, co mnie tak naprawdę skłoniło do tego wyznania...

Kartka, a raczej to, co było na niej zapisane. Gdy tak siedziałem, zwróciłem w pewnym momencie uwagę na kartkę wystającą z kieszeni jeansów. Zwykła kartka z zeszytu w kratkę złożona na pół. Wtedy pomyślałem, że nie powinienem, ale nie mogłem się powstrzymać – wyjąłem ją, rozprostowałem i przeczytałem jedno słowo zapisane pismem Emmy:

GŁUPOTA

Przeszedł przede mną zimny dreszcz. Jacek!, przecież to możliwe; mogła wiedzieć, gdzie pracuję. Człowieku!, to była wiadomość dla mnie. Policja prowadzi śledztwo, ale ja już wiem – wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie, a że był to jedyny szpital w okolicy!

Żałowała tego, co się z nią stało przez te lata. Musiała strasznie żałować, że tak się stało! Zdawała sobie sprawę, że nic nie cofnie, że za głęboko w tym siedziała. Wierzę w to głęboko.

Wziąłem ją za rękę i tak przesiedzieliśmy aż do przyjazdu kolejnej karetki.

Frytki i herbata dawno wystygły. Wiktor odetchnął, opuścił wzrok, a ja siedziałem nie wiedząc, jak to podsumować. Chyba nie oczekiwał nic więcej ode mnie. W końcu opowiedział na głos to, co tkwiło w nim od kilku tygodni. A to pomaga. Pomyślałem, że warto zachować się szczerze:

– Nie wiem, co ci powiedzieć, autentycznie nie wiem.

Uśmiechnął się i odparł:

– To nic nie mów.

Ale ja spytałem:

– Co teraz zamierzasz? – i zaraz dodałem – jeśli wolno wiedzieć.

– Kontynuować to, co robię od jakiegoś czasu: chcę dowiedzieć się, jak wyglądało życie Emmy po ukończeniu szkoły. Nawet jeśli będzie to koszmar. Jak wspomniałem na początku naszego spotkania: fascynowała mnie.

Zamilkłem. Tyle lat znałem tę dwójkę, a nigdy tak o nich nie myślałem. Jak można być tak niedomyślnym?!

Poza tym musiałem wracać do redakcji. Siedziałem tutaj stanowczo za długo, a teraz w dodatku (i znowu) nie wiedziałem, jak się zachować.

– Niestety, ale muszę iść. Porozmawiamy kiedy indziej, OK?

– W porządku – nie wyczułem w jego głosie gniewu. Chyba wiedział, że historia, którą mi właśnie opowiedział, zrobiłaby piorunujące wrażenie na każdym słuchaczu.

– Cześć – powiedziałem na pożegnanie i podałem mu rękę. „Zbliżają się święta” – nie wiedzieć czemu przeszło mi przez myśl.

– Do zobaczenia – ścisnął mi rękę. – A, jeszcze jedno. Nie sądzisz, że miała rację?

– Z czym?

– Że to wszystko... to głupota.

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Ciężko odpowiadać na coś takiego z zaskoczenia.

– Muszę iść – odparłem zły na siebie za uniknięcie odpowiedzi.

Kiwnął głową, a ja wyszedłem na dwór w mroźną listopadową noc.

Minąłem jakichś dresów drących się na nie wiadomo kogo i, kołysząc się lekko z oszołomienia, poszedłem w stronę redakcji nieoświetloną ulicą.

październik - listopad 2011



